




BIBLIOTEKA TEATRALNA



STEFAN KRZYWOSZEWSKI

SZAF

WARSZAWA F. HOESICK

<http://rcin.org.pl>

S Z A Ł

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

S Z A Ł

SZTUKA W 4-CH AKTACH

INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowa 6/101 Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-66 63, 26-66 61 w. 42

W A R S Z A W A - 1 9 2 1
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA



ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE,

1832
<http://rcin.org.pl>

O S O B Y:

<i>Hr. TEKLA OGRZANOWSKA,</i>	<i>KOLANKIEWICZ,</i>
<i>MERY, jej wnuczka,</i>	<i>NACZELNIK STRAŻY ZIEMSKIEJ.</i>
<i>ANTONI BURBA,</i>	<i>ADMINISTRATOR,</i>
<i>ŁADYS Hr. SIEWIERSKI,</i>	<i>TOSIA,</i>
<i>HENRYK GOŚLICKI,</i>	<i>NUNA,</i>
<i>WINCENTY KURAK,</i>	<i>POKOJÓWKA,</i>
<i>Pani LEOKADJA,</i>	<i>RICO — CYGAN,</i>
<i>KSIĄDZ PRAŁAT,</i>	<i>ALEKSANDER, KAMERDYNER</i>
<i>PREZES,</i>	<i>Hr. TEKLI,</i>

SŁUŻBA. — MILICJANCI. — KELNERZY. — GOŚCIE.

- AKT I. — W mieszkaniu hr. Ogrzanowskiej (Zima 1914 r.)*
AKT II. — Na wsi, u Zygmunta Goślickiego (Wiosna 1914 r.)
*AKT III. — W kasynie francuskiej miejscowości kąpielowej (ko-
niec lipca 1914 r.)*
*AKT IV. — W pokoju hotelowym tejże miejscowości (koniec
lipca 1914 r.)*

A K T I

Mieszkanie hr. Tekli. Salon urządony wykwintnie, cokolwiek staroświecko. Drzwi w głębi i na prawo. Z lewej strony okna. W głębi stolik do kart, koło niego krzesła. Fortepian. Z prawej strony na przodzie sceny: kanapa, stół, fotele. Na ścianach portrety rodzinne i stare obrazy.

SCENA 1.

Leokadja. — Prezes. — (Później) Aleksander. — Ks. Prałat.

(Gdy się podnosi zasłona, prezes siedzi wglębiony w fotel. Ma minę niezadowoloną i zgnębioną. Opodał znudzona *Leokadja*).

Prezes (stary, siwy pan, o ruchach sztywnych i oficjalnych, w surducie, — wyjął zegarek, spojrzął): Kwadrans po siódmej! *Do Leokadji*, z wymówką): Ale dlaczego nie ma prałata?

Leokadja (w wieczorowej toalecie, wiek niezbyt określony, widoczne staranie o utrzymanie śladów młodości — wzruszyła ramionami): Nie wiem.

Prezes: Niezrozumiałe!... Zupełnie niezrozumiałe.

Leokadja: Zapukałam do garderoby. Wyszła *Lucja*: — Pani hrabina prosi o kwadrans cierpliwości.

Prezes: Niezrozumiałe... I równocześnie prałat...

(W drzwiach w głębi staje *Aleksander*, przepuszczając z ukłonem *Ks. Prałata*, który wchodzi szybko conieco zasapany).

Leokadja: Jest! (Wstaje).

Prałat (wita się z nią, potem z prezesem): Spóźniłem się... cały kwadrans...

Prezes (spojrzął na zegarek): Przepraszam... dwadzieścia minut.

Prałat (obejrzał się): A pani Tekla?

Leokadja: Jeszcze w garderobie.

(*Aleksander* rozkłada karty na stoliku do gry, porządkuje krzesła, stawia lichterze).

Prałat (zacierając ręce): Cóż się stało?...

Prezes: Coś się stało, ale... (daje gościom do zrozumienia, że nie wie).

Leokadja (spojrzała w stronę Aleksandra, półgłosem): Aleksander wie z pewnością... Gdyby ksiądz pralat chciał...

Pralat (zatarł ręce, podchodzi do Aleksandra): Panie Aleksandrze; Cóż się w tym domu dzisiaj dzieje?

Aleksander (z godnością): Pani hrabina zaraz wyjdzie.

Pralat (poklepał poufale po ramieniu kamerdynera): Tajemnica?

Aleksander (obejrzał się na prezesa i Leokadję, którzy rozmawiają półgłosem): Pani hrabina bardzo zdenerwowana... Zażywała krople... spóźniła się do garderoby...

Pralat (tak samo półgłosem): Z jakiego powodu?

Aleksander (po chwili wahania): Zdaje się... nieporozumienie z panną Mery...

Pralat (poruszony): O!

Aleksander (tajemniczy i uroczysty): Tu nie jest wszystko w porządku, proszę księdza pralata...

Pralat (zachęca go do niedyskrecji): Nie jest w porządku?

Aleksander (j. w.): Ja się nie mieszam do nie swoich spraw... ale pani hrabina ma słuszość... To wszystko mogłoby nas zaprowadzić bardzo daleko...

Pralat: O! (zatarł ręce): A kolacja?

Aleksander (życzliwie): Karp o ble (au bleu) i pentarki w pomidorach.

Pralat (oblizął się): Wolalbym po prostu... pieczone... Trudno... (Poufnie): A więc znowu panna Mery?

(*Aleksander* rozkłada ramiona, chce coś powiedzieć, lecz w tej chwili drzwi w głębi otwierają się, wchodzi *Burba*. Aleksander składa ukłon, wychodzi).

SCENA 2.

Leokadja. — Prezes. — Pralat. — Burba.

Burba (trzydziestokiloletni mężczyzna, twarz czerwona, ogorzała, w zakiecie ostatniej mody, duży kwiat w butonierce, krawat nieco jaskrawy, jasne getry): Państwo nie przy bridge'u? (Wita się): Dobry wieczór... A pani hrabina?

Leokadja: Pani Tekla jeszcze w garderobie.

Burba (cokolwiek rubaszny): Koniec świata! O tej godzinie! Chyba dzisiaj kilka toalet przymierza...

Leokadja (ciekawa, do pralata): Co mówił Aleksander?

Pralat (tajemniczo): Nieporozumienie z panną Mery.

Leokadja (klasnęła w dłonie): Znowu? To się źle skończy!... To się musi źle skończyć!

Prezes (do Burby, wskazuje stolik do gry): Możebyśmy zaczęli we czworo?

Burba: Nie... nie... ja właściwie dzisiaj... wolałbym nie grać...

Leokadja (uszczypliwie): Pan Burba nie przychodzi tutaj dla nas... Inny magnes go ciągnie...

Burba (nie zwraca uwagi na tę ironiczną uwagę, do prałata): Zaszło co z panną Mery?

Prałat (dyskretny): Ja nie wiem... Może to tylko domysł...

Leokadja: Ona jest nadto nieustępliwa... Nie umie dostosować się do położenia.

Burba (zaperza się): Proszę pani... Ja bardzo szanuję panią hrabinę... ale życie panny Mery jest trudne. W gruncie rzeczy pani Tekla żywi do niej niechęć.

Prałat (oburzył się, niezbyt szczerze): Co też pan mówi?

Burba (j. w.): Tak jest, niechęć... Nawet to, że z twarzy do niej podobna! Dla pani Tekli jest ona zawsze córką kobiety, która zabrała jej syna.

Prałat: Takich rzeczy trudno zapomnieć...

Burba: Jak ksiądz prałat wytlómaczy to dziwactwo, to codzienne przebieranie się w stare balowe suknie... z przed dziesiętków lat!... W tem jest coś niesamowitego... Raz, wszedłem do garderoby... nie zapukawszy... stała przed wielkim zwierciadłem, uróżowana, wymalowana, w złotej peruce, w sukni wieczorowej, z kryneliną... Wyglądała jak upiór...

Prałat (strofuje): Panie Burba!

Leokadja (żywo): Mery powinna pamiętać, że jej sytuacja nie jest uregulowana, że...

Burba (przerywa): Proszę pani! Czy młody Ogrzanowski był ojcem panny Mery, czy nie był? Czy przed śmiercią nie chciał jej uznać?

Prałat (robi młynka palcami na brzuchu): Chciał... nie chciał... faktem jest, że kościół tego związku nie pobłogosławił.

Burba (gorąco): Ale co temu winna panna Mery?

Prałat (j. w.): Któż mówi, że jest winna? Chodzi o ustalenie faktów. Sąd nie do nas należy. Pani Tekla nie tai przed panną Mery, że majątkiem rozporządziła na rzecz kościoła. Dla niej tylko pewien legat...

Burba (przerywa szorstko): Już tam ksiądz prałat podsycyca pewno te zamiary...

Prałat (obrażony): Mój panie! Pan się zapomina! (Wydął się, wyprostował, oglądął z gniewem po obecnych).

Leokadja (żywo): Że pan się kocha w Mery, to jeszcze nie powód, aby podsuwać prałatowi...

Burba (przerywa): Czemuż pani mnie podsuwa myśli, o któ-

rych pani nie wiedzieć nie może... (wstał gniewnie, machnął ręką): Pani jej także nie może darować!

Leokadja (wyzrywająca): Czego?

Burba: Siewierskiego!

Leokadja (bardzo dotknięta): Pan jest człowiekiem źle wychowanym... (Chce iść): Ksiądz prałat daruje...

Prezes (zatrzymuje ją): Pani Leokadjo! Pan *Burba* i tak nie chce grać w bridge'a.

Burba (stropiony): Nie chciałem pani obrazić...

Leokadja: Pańska niegrzeczność tem bardziej jest nie na miejscu, że ja zawsze i wszędzie powtarzam, iż *Mery* powinna wyjść za pana.

Burba (protestuje): Proszę pani!...

Leokadja: Pan wie najlepiej... *Siewierski* nigdy się z nią nie ożeni... On?... bez wielkiego majątku?... Wszystko co pani *Tekla* posiada, nie wystarczyłoby... A ona nie da teraz *Mery* n i c... (uderzyła paznokciem w zęby): ...nie! Źle czy dobrze, to nie moja rzecz... Ale nie da... I on wie o tem doskonale. (Tonem umyślnie lekceważącym): Pan jest podobno bardzo bogaty... i ostatecznie szlachcic...

(*Burba* pocerwieniał, chce coś odpowiedzieć, zastanowił się, machnął ręką i odszedł ku oknu).

Prałat (z rezygnacją): Może już lepiej zaczniemy tego bridge'a!

Prezes (wstaje skwapliwie): Ja i owszem...

Leokadja (postrzega wchodzącą z prawej strony hrabinę *Ogrzanowską*): Pani *Tekla*! (Śpieszy do niej z powitaniem).

SCENA 3.

Ciż. — *Pani Tekla*.

Pani Tekla (stara kobieta, ubrana ze staroświecka, ale bardzo starannie, wydekoltowana, na głowie złotawa peruka, wymalowana, opiera się na laseczce): Przepraszam was, moi drodzy... (wszyscy całują ją w rękę): Czekaliście długo? Ksiądz prałat bardzo się na mnie gniewa? (Prałat protestuje gościem). I prezes... (Prezes również protestuje). (Do *Burby*, przy powitaniu): Mam do pana interes... (Do *Leokadji*): Ma chère, zadzwoń na *Aleksandra*... (Wskazuje na drzwi w głębi): Tam jest dzwonek.

Leokadja (śpieszy do drzwi): Wiem...

Pani Tekla: Trzeba było zacząć bezemnie... Było was czworo... (Z uśmiechem do prezesa): Prezes pewno najbardziej wyrzekał. (Prezes gościem protestuje): Jestem tak zdenerwowana, że będą robiła same renonse. (*Aleksander* zjawia się w drzwiach).

Kamerdyner: Pani hrabina dzwoniła?

Pani Tekla: Trzeba podawać kolację... (*Aleksander* wychodzi).

Pralat: Pani hrabina nie szanuje zdrowia.

Pani Tekla: To inni nie chcą go szanować, księżę pralacie. Mnie się już należy wypoczynek. Wiek ma swoje prawa.

Prezes (wersalsko): Pani hrabinie nie wolno mówić o wieku. Zawsze pełna życia, werwy!...

Pani Tekla (z wdzięcznym spojrzeniem): Pan jest bardzo miły. Pan rozumie, że kobieta potrzebuje uprzejmych słów, choćby w nie nawet wierzyć nie mogła.

Pralat: Byliśmy już całkiem niespokojni! Co się stało?

Pani Tekla (giestem wskazuje na górne apartamenty): Ta dziewczyna do grobu mię wpędzi... Czasem wydaje mi się, że chyba rozmyślnie... Ale co jej z tego przyjdzie? Jeśli to wyrachowanie, — myli się, bardzo się myli...

Leokadja (nieszczerza): Mery z pewnością kocha cicię.

Pani Tekla: Ona mnie nienawidzi... (*Burba* protestuje giestem). Panie Burba, jestem pewna...

Pralat: Byłaby nad wyraz niewdzięczna.

Pani Tekla: Wdzięczność jest pustym słowem, gdy braknie przywiązania, chociażby życzliwości... Zresztą, ja i ona, to dwa światy! Wszystko, co ona myśli i mówi, jest przeciwne moim poglądom. Każde moje słowo... spojrzenie, drażni ją. Taką musiała być jej matka. (Do Burby, który nastroszył się w widocznym niezadowoleniu): Niech pan tak nie patrzy na mnie, ja wiem, że pan jest po jej stronie. Pragnęłabym tak jak pan, nie widzieć jej złych skłonności.

Burba (oburzony, nie może już wytrzymać): Złych skłonności! Pani hrabino!

Pani Tekla: Czy to się godzi, aby dziewczyna, bądź co bądź przygarnięta do dobrej rodziny, zrywała z przyjętymi zwyczajami, chciała sobie tworzyć jakieś „własne“ życie? Książd pralat wie, czem się kończą takie aspiracje! Jeśli, mimo wszystko, traktują ją jak córkę mego syna, to nie powód, aby narażać mię na skandal, albo gorzej jeszcze... (*Burba* zniecierpliwiony wstaje, jak gdyby miał ochotę wyjść): Niech pan posłucha, panie Burba. Już ja nie chcę mówić o tem, że lata sama po mieście, ma jakieś znajomości, że często nie może się wytlómaczyć, gdzie była... Zawsze w końcu te kursa naukowe!... Lecz to, co dzisiaj, to już przechodzi wszystko. Kiedy Aleksander rano przynosi mi czekoladę, widzę odrazu, że ma jakąś tajemniczą minę. Zaczynam pytać. Z początku się wykręca, w końcu mówi. — Pani hrabino, nie mogę dłużej ukrywać, tu się dzieje coś niedobrego. — Cóż takiego? — Dziś nocował u nas młody człowiek, nie z naszej sfery... (uśmiechnęła się i zatrzymała).

Pralat (zatarł ręce, z uśmiechem): Nie z naszej sfery... Pansjami lubię tego Aleksandra...

Pani Tekla (ciągnie dalej): Jaktó, nocował? Kto go wprowadził? — Panna Mery, w wielkim sekrecie, kazała dać gościnną pokój, zaniósła mu swoją kolację... Święta patronko! Co się dzieje! Każę wołać Mery. I cóż się okazuje? Znowu ten Kurak...

Leokadja (śmieje się): Kurak?

Pani Tekla (zgromiła ją wzrokiem za niewczesną wesołość: Kurak, syn kobiety, która wychowywała Mery, po śmierci matki, i opiekowała się nią, dopóki ja się nie zdecydowałam... (do prezesa): Pan wie, czem się zajmuje ten... Kurak?

Prezes (który od dłuższego czasu usilnie walczy z nagabującą go sennością, przeraził się trochę tym nagłym do niego zwrotem): Pani hrabino! Nie wiem...

Pani Tekla: On jest rewolucjonistą! (poruszenie). Niby to malarz... ale czy ja wiem! Nigdy o jego landszaftach nie słyszałam. Mery twierdzi, że malarz... (do Leokadji): Jabym trzech groszy nie dała, czy on po prostu nie maluje szyldów... albo pokojów... Ale sens w tem, że on ukrywa się, bo go szukają żandarmi...

Prezes (poruszył się niespokojnie): O!... (kiwa tragicznie głową).

Pralat (świsnął lekko z wrażenia).

Pani Tekla: Wyobraźcie sobie, gdyby zaczęto szukać go u mnie, gdyby znaleziono przy nim jakie kompromitujące papiery! Nie, tego już za wiele. Mówię do niej: — Moja Mery! Niech ten Kurak, natychmiast się wynosi. I bez mego zezwolenia nikogo tu przyjmować nie wolno. A ona na to: — Przed północą nie może wyjść, bo na niego polują. Powtarzam jej, że ja jednej chwili nie chcę trzymać u siebie jakiegoś anarchisty. (Do pralata): Mój pralacie, czy ja mogę być pewną, że taki człowiek nie nosi z sobą bomby? Niech wybuchnie u mnie...

Prezes (wstał przerażony): Pani hrabino!... To okropne!

Pani Tekla: Prawda? (Do Leokadji): Gdybyś widziała jej oczy! Jak zielone ognie... Jeśli babcia jego wyrzuci, to i mnie... Ja go nie puszcze samego, pójdę z nim, niech nas aresztują oboje...

Leokadja: Czyż ona znowu w nim się zakochała?

Pani Tekla: Nie. Gdzie jemu do kochania... tylko upór, taki już charakter niemożliwy... I oto awantura przez cały dzień... Ja do niej ciągle: — Proszę cię, niech ten Kurak sobie idzie. A ona: — dobrze, ale i ja z nim i więcej nie wrócę...

Prezes: Jabym nie pozwolił, żeby rewolucjonista... u mnie...

Pani Tekla: A jeśli ona pójdzie z nim i razem ich zaaresztują? Wyda się, gdzie nocował... Przyjdą żandarmi... potem jego koledzy gotowi się mścić... Jeszcze gorzej... (Do pralata):

Księżę *praiacie*, za jakie grzechy Pan Bóg tak ciężko mnie karze? (Zmiana tonu): Czy praląt nie chciałby z nią pomówić? (Do *Leokadji*): Proszę cię, sprowadź ją... (Ksiądz robi minę, że nie wierzy, aby to pomogło).

Leokadja (wstaje): Nie wiem, czy będzie chciała... (Idzie na prawo).

Praląt (uroczysty): Pani hrabino! Wszystko, co tu na ziemi, wycierpimy, będzie nam policzone tam... (Palec do góry).

Burba (półgłosem): Bardzo skomplikowana buchalterja!

Praląt (dosłyszał, urażony): Przyjdzie czas, panie *Burba*, że i nie wierzący będą musieli uwierzyć...

(Drzwiami w głębi wchodzi *Ładys* i *Henryk*, obaj we frakach.

SCENA 4.

Ciż. — *Ładys*. — *Henryk*.

Ładys (w drzwiach, zatrzymując *Henryka*): Państwo jeszcze nie przy *bridge'u*? Ziemia zatrzymała się w swym biegu!

Pani Tekla (powitała życzliwym uśmiechem *Ładysa*): Dobry wieczór! O, i pan *Henryk*... Nie wiedziałam, że pan w Warszawie.

(Nowoprzybyli podchodzą do towarzystwa i witają się).

Ładys: Jedliśmy razem obiad w klubie. Namówilem go, żeby przyszedł ucałować rączki pani hrabiny...

Pani Tekla (mizdrzy się cokolwiek do *Henryka*): Dawniej nie trzeba było namawiać. Do starych kobiet nikt się nie kwapi.

Henryk: Wcale mnie nie namawiał. Sam mu zaproponowałem. (Wraca *Leokadja*).

Leokadja (wita się z *Henrykiem* i *Ładysem*): Dobry wieczór... (Do *Henryka*): I pan tutaj!... (Do *pani Tekli*): Mówi, że zejdzie, o ile ciocia zaprosi na kolację jej gościa.

Pani Tekla: Ja mam prosić pana *Kuraka*!... Ona sobie wyraźnie drwi ze mnie.

Ładys: Jakiego *Kuraka*? (przypomina sobie): Ach, tego *Mery*... to bardzo zabawne stworzenie...

Leokadja: Ostatecznie, gdyby ciocia się zgodziła...

Pani Tekla: Moja droga... Jeszcze w tych fotelach nigdy żaden rewolucjonista nie siedział... (jakby szukając pomocy): Księżę pralacie!

Praląt (wymijająco, z lekkim uśmiechem): Może *djabel* nie taki czerwony, jak go malują...

Henryk: Widziałem w zeszłym roku obraz pana *Kuraka*, na wystawie. Krytycy bardzo wychwalali, tylko nie mogli się zgodzić co do treści. Jeden pisał, że to burza na morzu, drugi, że

zachód słońca w górach, a trzeci, że — jajecznicą z pomidorami. Bardzo chciałbym dowiedzieć się od pana Kuraka, co na prawdę ten obraz przedstawiał.

Prałat: I człowiek zbłąkany może czasem się przydać. Czasy są bardzo niepewne.

(Podczas całej tej sceny *Burba* trzyma się nieco na uboczu).

Pani Tekla (do prezesa, chcąc jego zdania zasięgnąć): A prezes?

Ładys (nie dając przyjść do słowa prezesowi, który widocznie jest przeciwny panu Kurakowi): Prezesie! Małego baczka! (Wskazuje z uśmiechem stolik do gry).

Prezes (obrażony): Ja, panie hrabio, z zasady w hazard nie grywam.

Ładys (śmieje się): Ja myślałem, że zasady są na to, żeby od nich odstępować. (Do pani Tekli): Więc ja pójdę po nich, dobrze? (Do *Leokadji*, chcąc ją pozyskać): Wygląda pani jak róża... (Idzie ku drzwiom na prawo).

Leokadja: Którą omijają już motyle. (*Ładys* wyszedł).

Prałat (do *Henryka*): Zostaje pan w mieście?

Henryk: Nie... Za parę dni wracam do siebie.

Leokadja: Co pan będzie robił na wsi? Zima!

Henryk: Będę się nudził... Ale przynajmniej będę sam ze swoją nudą.

Prałat: Dlaczego pan się nie ożeni?

Henryk (śmieje się): Myślałem, że ksiądz prałat ma więcej dla mnie życzliwości...

Prezes (do pani Tekli, wskazuje na stolik do gry): Czy my będziemy czekać? Mam nadzieję, że pan Kurak nie będzie z nami grał...

Pani Tekla: Skądżo znowu... (wstaje). Prezes ma słuszość. (Do *Burby*, który trzyma się wciąż na uboczu): Panie *Burba!*...

(Wszyscy wstają, w tej chwili w drzwiach z prawej strony. zjawia się *Ładys*, za nim *Mery* i *Kurak*).

SCENA 5.

Ciż. — *Mery*. — *Kurak*.

Ładys (trzyma *Mery* za rękę): Oto jest panna *Mery*, wcielony duch buntu. Trzeba przyznać, że ładnie wcielony. A to jest pan *Wincenty Kurak*, malarz i rewolucjonista.

(*Mery* wita się chłodno z prałatem i prezesem, serdeczniej z *Henrykiem* i *Burbą*).

Kurak (w szarem, marynarkowem ubraniu i długich butach. Niezgrabny, nastroszył się i najeżył, usiłując zapanować nad o-

nieśmieleniem, które go ogarnęło. Składa ukłon hrabinie i towarzystwu): Przepraszam, panią hrabinę... Ja nie chciałem... Ale panna Mery i hrabia... (wskazuje Siewierskiego).

Ładys: Właściwie czym pan jest więcej: malarzem czy rewolucjonistą?

Kurak: Proszę pana... ja... ja mógłbym pana zapytać, czy pan jest więcej hrabią, czy człowiekiem?

Henryk (śmieje się): Doskonale... (Podaje rękę Kurakowi, Mery, która stoi obok, objaśnia):

Mery: Pan Goślicki...

Kurak: (do pani *Tekli*, bez uniżoności, z pewną szorstkością): Mnie było bardzo przykro... ja zaraz mówilem panie Mery, że pani będzie niezadowolona i chciałem odejść...

Pani Tekla (chłodno, ale przyzwoicie): Do pana nie mam też żadnej pretensji... Proszę, niech pan siada...

(*Kurak* skłonił się, ale nie siada, pozostaje dalej przy Mery, Henryku i *Ładysie*).

Pralat: Czy to prawda, że pana szukają?

Kurak (nieufny i niechętny): E... ktoby tam mnie szukał! Nie nikomu nie winienem!

Ładys (śmieje się): Jak ja panu zazdrościć!

Mery (do *pralata*): On tylko ma takie szczęście do żandar-mów. Chcą koniecznie zawrzeć z nim bliższą znajomość, a on ma do nich wstręt. (Do *Kuraka*): Lubisz żandar-mów?

Kurak (zawsze poważny i powściągliwy): No... żebym lubił... nie powiem.

Pralat: A cóż oni mają do pana za interes?

Kurak (j. w.): Nie wiem, proszę księdza, nie wiem, czy wogóle mają interes... (Uśmiechnął się przelotnie): To nie jest prze-cie żadne towarzystwo!

Henryk (śmieje się): Może oni chcą wpłynąć, żeby pan malował mniej... futurystycznie?...

Kurak: Ja już przestałem malować, proszę pana. (Do *Mery* z uśmiechem): Palce mi całkiem zgrubiały... (Podnosi z lekka prawą rękę do góry).

Pralat (do pani *Tekli*, przymilny wzrok w stronę *Kuraka* zwracając): Ile to u nas marnuje się zapалу, gotowości do ofiar! Najlepsze chęci wywołują nieszczęścia i klęski... (Do *Kuraka*): Gdybyście wy, młodzi, więcej wierzyli w dobrą wolę i doświadczenie starszych! Bo każdy polak, panie *Kurak*, kocha ojczyznę, każdy pragnie jej szczęścia.

Kurak (ironicznie): Tylko nie wszyscy na jeden sposób...

Pralat: Człowiek rozsądny, zdaje sobie sprawę, że narażać kraj na nowe wstrząśnienia, byłoby zbrodnią...

Prezes (skwapliwie): Tak jest, zbrodnią!... (Chwila milczenia).

Pralat: Ale oczywiście, gdy nadejdzie chwila...

Kurak (z lekką ironją): Właśnie nadchodzi! Tylko ślepi nie widzą. Wojna europejska, wielka wojna światowa wisi w powietrzu...

(*Pani Tekla* rozmyślnie ignoruje *Mery*, jakby jej nie widząc).

Pralat (śmieje się z politowaniem, do prezesa): Wojna! Słyszysz prezes?

Prezes (wzrusza ramionami): Wojna!

Burba: Wojna w XX wieku! To byłoby ostateczne bankructwo ludzkości.

(*Aleksander* wchodzi, trzymając tacę z butelką i kieliszkami, za nim drugi służący niesie tacę z zakąskami).

Pani Tekla: Proszę panów... mnie się zdaje, że ta rozmowa... nie doprowadzi do porozumienia... Księżę pralacie! Kieliszek madery!

(*Mery* zbliżyła się do *Kuraka* i szeptem mu coś, on machnął ręką, jak gdyby godząc się na jej wywody):

Mery (głośnie): Po co ty im to gadasz?... Chodź!... (Targnęła go za ramię; pociągnęła na lewo, gdzie stoją *Henryk* i *Ładys*, nieco na uboczu *Burba*).

Ładys (do *Kuraka*): Ja się nie boję rewolucji, bo czy mają mnie wywłaszczyć lichwiarze, czy socjaliści, rezultat będzie dla mnie jednakowy.

Henryk: Jedna kultura ginie w zapomnieniu, rodzi się nowa... i ludziom wydaje się, że to postęp... A to jest ta sama robota, znów od początku... Dusza ludzka zachowuje wiecznie te same złe skłonności. Egoizm, złość i czasem... litość... (śmieje się pogardliwie): Litość!

Aleksander (stanął przed nimi z tacą): Madera...

Henryk: Dziękuję.

Ładys (bierze kieliszek, do *Kuraka*): Ja wszystko piję, prócz atramentu...

Mery (do *Kuraka*): A ty? (staneła przy nich hr. *Tekla*).

Kurak (spojrzał nieufnie na butelkę): E... to nie dla mnie...

Mery: Tybys wypił kieliszek wódki?

Kurak (z uśmiechem, nie widzi *Tekli*): Chyba dwa. (W towarzystwie poruszenie).

Pani Tekla (niezadowolona): Moja droga, ja nie wiem nawet, czy jest wódka...

Mery (do *Aleksandra*): Niema wódki?

Aleksander (z wahaniem): Jest koniak... (*Pani Tekla* odchodzi od nich).

Mery: Niech *Aleksander* przyniesie.

Ładys (uderzył w ramię Kuraka, do Mery): Dobry numer, ten twój „towarzysz“...

Mery (radośnie): Ja wiedziałam, że będzie ci się podobał. (Do Kuraka, wskazując na Ładysa). On jest lotr skończony, ten mój kuzyn z Dzikich pól, ale miły i dobry. Żeby mu tylko dać pułk ułanów!

Ładys (śmieje się): Jak wicher... przez całą Polskę! (Ciszej do Kuraka): Jak się panu podoba pralat?

Kurak: Czysty, tłusty, jak się patrzy...

Mery: Gdy go widzę, mam ochotę modlić się? Boże uchowaj mię od enoty!

Burba: (zbliżył się do nich. — do Kuraka): Ma pan w panie Mery gorącą przyjaciółkę. Jej przyjaciele są na pańskie usługi...

Mery: Niech pan im da dużo pieniędzy... Pana Henryka i Ładysa już wypompowałam... a oni (spojrzeniem wskazała Kuraka) zawsze mają więcej ludzi, gotowych poświęcić życie,—niż rubli.

Burba (pociąga Kuraka na bok): Niech pan pozwoli... (Zaczynają rozmawiać, przyczem Burba wyjmuje pugilares i odlicza pieniądze).

Ładys (do Mery): Szukałem cię w Alejach.

Mery: Nie mogłam... Awantura...

Ładys: O niego? (Wzrokiem wskazuje Kuraka).

Mery: Tak.

Burba (głośniej do Kuraka): Tylko żadnych pokwitowań... nie, proszę pana... żadnych pokwitowań!

Prezes (do pani Tekli, z oburzeniem): Pani hrabino!... Ten młodzieniec (wskazuje Kuraka) zbiera tutaj pieniądze... na cele rewolucyjne... (wstaje). Pani hrabina wybaczy... ja się usuwam... ja nie byłem przygotowany na takie spotkanie...

Pani Tekla (poruszona): Panie Burba! Co to ma znaczyć? (Do Kuraka): Ja sobie wypraszam... Pan nadużywa gościnności.

Ksiądz pralat: Czy pan wie, na jakie przykrości może być narażona pani hrabina?

Pani Tekla (zatrzymuje wraz z Leokadją prezesa): Błagam pana, przesie... Tego pan nie zrobi... (Prezes daje wreszcie się ulagodzić i siada; acz wciąż wzburzony).

Kurak: Czego się ksiądz czepia?... Ja się narażam codzień na gorsze przykrości... (zrobił gości koło szyi, mający znaczyć, że grozi mu stryżek). Pani hrabinie, ani jej gościom, nie się nie stanie... Z dygnitarzami w dobrej komitywie... Ksiądz pralat też położył zasługi...

Pani Tekla: Zechce pan opuścić ten salon!

Mery (gwaltownie): Babcu!

Pani Tekla: Z tobą rozmówię się później. (Do Leokadji) Proszę cię... zadzwoń... (Leokadja idzie do dzwonka).

Kurak: Nie potrzeba, pani hrabino... Już idę...

Mery (zatrzymuje go): Musisz czekać na paszport i dokumenty. (Do pani Tekli): Mają mu przynieść dziś... najpóźniej jutro rano... Bez paszportu w pierwszym lepszym hotelu mogliby go zatrzymać...

Kurak (twardy): Nie się nie stanie... (tkliwiej): Przepraszam panią.

(W drzwiach *Aleksander*, niesie tacę z butelką koniaku, staje przy *Kuraku*, z godnością):

Aleksander: Koniak!

Kurak (j. w.): Nie chcę!

(*Aleksander* patrzy nań ze zdziwieniem i urazą, poczem stawia butelkę na stole. *Lokaj* otwiera na oścież drzwi w głębi):

Henryk: Mój powóz stoi przed bramą... Aleksandrze, proszę powiedzieć stangretowi, żeby zawiózł pana *Kuraka* do mnie (Do *Mery*): Zatelefonuję do służącego... (Do *Kuraka*): Zgadza się pan? (*Mery* dziękuje mu gorącym uściskiem dłoni).

Kurak (twardo): Nie chciałbym panu robić kłopotu.

Henryk: Żadnego... (Do pani Tekli): Pani pozwoli mi zatelefonować...

Aleksander (z ukłonem do pani Tekli): Kolacja podana.

Kurak (pożegnał się uściskiem dłoni z *Burbą* i *Ładysem*, *Mery* pocałował w rękę, reszcie towarzystwa składa hardy ukłon): Żegnaj państwa.

(*Aleksander* poszedł do drzwi na prawo, otworzył je, przepuszcza *Henryka* i *Kuraka*, potem wychodzi za nimi).

Pani Tekla (patrzy za nimi. Gdy zniknęli, odetchnęła): To okropnie. (Do pałata i prezesa): Przepraszam panów. Jestem zupełnie wytracona z równowagi... (Do *Mery*, ze złem spojrzeniem): Pannie tego nigdy nie daruję. To się nazywa wdzięczność!

Mery (wyzywająco): Wdzięczność? Ja się nie czuję do żadnej wdzięczności.

Burba (zbliżyła się do niej, chcąc ją uspokoić, — ciepło): Panno *Mery*!

Mery (unosi się): Do żadnej! Ja wiem, że babcia mnie nienawidzi. Matka tego chłopca, prosta kobieta, dawała mi stokroć więcej, bo uczucie. Dla niej zachowałam wdzięczność.

Pani Tekla (zimna i stanowcza): Proszę skończyć. (Do *Leokadji*, cokolwiek bezradnie): Gdzie *Aleksander*?... Kolacja podana... Proszę panów...

Prezes (wstał uroczyście): Pani nie ma słuszności, panno *Mery*! (Do hrabiny): Jestem tak zalterowany... Pani pozwoli, że

jeszcze kieliszek... (bierze z postawionej na stole tacy kieliszek madery i pije. Hrabina zaprasza go gościem bolejącej wdzięczności).

Prat (również uroczysty, do Mery): Pani hrabina zasługuje na większe względy.

Pani Tekla (zaprasza ich w stronę drzwi w głębi): Niech panowie pozwolą... (oparła się życzliwie na ramieniu Leokadji): Panie Burba! (Burba skłonił się, wszyscy idą w głąb).

Burba (do Mery, która nie rusza się z miejsca, przy niej *Ładys*): A pani?

Mery (szorstko): Nie jestem głodna...

Pani Tekla (odwróciła się obojętnie): Jak chcesz, moja kochana...

(*Burba* idzie).

Mery (do *Ładysa*, cicho): Zostań...

Ładys (głośno do hrabiny): Ja dopiero przed chwilą wstałem od obiadu...

(Hrabina nie zwróciła uwagi na jego słowa, wszyscy wychodzą. Drzwi w głębi zamyka od zewnętrznej strony lokaj. Na scenie zostaje Mery i *Ładys*.)

SCENA 6.

Mery. — *Ładys*.

Mery (gdy drzwi się zamknęły, tuli się do *Ładysa*): Weź mię stąd! Ja dłużej tu nie zostanę. Nie mogę!

Ładys (głaszcze ją po włosach): Zdaje mi się, że dziś nie miałś słuszności. Ani twój przyjaciel.

Mery: Być może. Ale ja się tutaj duszę. (Spojrzenie w stronę drzwi). Ona mnie nienawidzi. Cały dom dyszy do mnie niechęcią. Wszyscy... Ona całą nienawiść do mej matki przelała na mnie. Najbardziej gniewa ją, że jestem podobna do Ogrzanowskich... do niej. Wczoraj ktoś tu był i wziął jej miniatyrę, z przed pięćdziesięciu lat, za mój portret... Trzeba było widzieć wściekłość... — Co pan mówi! Niema żadnego podobieństwa! *Ładys*! Ja tu dłużej nie zostanę. Kochasz mię?

Ładys: Jak wściekły wilk.

Mery: Weź mię stąd!

Ładys (wziął jej rękę): Mery droga, ty wiesz najlepiej! Czy to jest możliwe?... (wzrokiem wskazał drzwi w głębi): Ona ci nic nie da... nawet nie może. To, co ma, zaledwie wystarcza na jej tryb życia. (Przesunął spojrzeniem po salonie): Ja jestem zrujnowany. Siewierski kawaler może żyć z dnia na dzień. Dziś wygra, jutro pojędzie gdzieś... jeszcze znajdzie ryzykanta-li-

chwiarza, jeszcze uda mu się sprzedać ukradkiem kawałek lasu. Siewierski żonaty? Sytuacja całkiem odmienna.

Mery: Jesteś młody, inteligentny!

Ładys: Młody? Tak. Inteligentny? Boję się, że przesadzasz. Ja sam niebardzo wierzę w moją inteligencję. Za to wierzę mocno w zupełną słabość mojego charakteru. Ty jesteś znacznie inteligentniejsza odemnie! Wiesz więc, uniesz lepiej myśleć. Ja nie nie umiem... nikt do mnie nie ma zaufania.

Mery: Oczerniasz się! Jestem przekonana, że gdybyś tylko chciał... Ty się sam nie znasz, nie chcesz się sam odszukać. Ja wiem, że w tobie pali się wielki, jasny ogień, — ale ty nie chcesz przebić skorupy, która cię od twej płonącej duszy rozdziela. Ja cię widzę, kocham, jakim jesteś. Ty się widzisz takim, jakim pokazujesz się obojętnym ludziom.

Ładys (pocałował jej rękę, pieści ją w dalszym ciągu w swych dłoniach, z łagodnym uśmiechem): Chciałbym wierzyć temu, co mówisz, lecz mój zmysł rzeczywistości stoi na straży i pyta: — Czemże uwidacznia się ten twój ogień wewnętrzny? Twoja zdolność do życia? Ona cię kocha, więc widzi cię takim. jakim mieć cię pragnie.

Mery (tuli się do niego): Weź mię stąd, Ładys. Mnie jest wszystko jedno... Nie chcesz za żonę, — weź za kochankę. Nie-uwidzę zła, bo ono tylko lży sieje... ale mam odrazę do tego dobra... według ich moralności... Byle tylko nie kłamać... niema nic wstrętniejszego, jak kłamstwo... Tutaj wszyscy kłamią... całe to życie jest jednym kłamstwem. (Łasi się): Nie chcesz mię za kochankę?

Ładys (odsuwa się): Psiakrew!... Nie.

Mery (zastanowiła się, nagłą nieufnością zdjęta, po chwili): A gdybym wyszła za innego... chciałbyś być moim kochankiem..

Ładys (zawahał się): Tak... (Chwila milczenia).

Mery (giest w stronę drzwi, z udanym spokojem): Tam jest pan Gościcki... Bardzo bogaty. Twój przyjaciel! Może lepiej pan Burba? Starszy, jeszcze bogatszy... Jak myślisz?

(*Ładys* spogląda na nią nieufnie, nie dowierzając, czy *Mery* mówi serjo):

— Więc pan Burba.

Ładys (dał się zwieść): Ale będziesz moją?

Mery: Twoją? Godzisz się? Boże! Jakie to podłe, coś powiedział! (*Ładys* chce się tłumaczyć) — Podłe!

Ładys: *Mery*! Ja cię kocham więcej, niż umiem to wyrazić. Ja cię kocham naprawdę, — jak wściekły wilk. Gdybym cię nie kochał — tak właśnie — już biegłbym po bilety kolejowe, za godzinę siedzielibyśmy w sleeping'u. Wiesz, że bojaźliwy nie je-

stem. Ale ja tego z tobą zrobić nie mogę. Ja znam odwrotną stronę życia. Ja chodzę po błocie jak bocian,—ciebie prowadzić nie chcę.

Mery (twardo): Nie kochasz mię.

Ładys: Kocham. Tłukę się jak ryba w sieci. Nie widzę wyjścia.

Mery (nachyla się do niego, w oczach nagły płomień): Pocałuj mię.

Ładys (zawahał się): Tutaj?

Mery (przybliżyła swe usta do jego warg): Pocałuj!

Ładys (odsunął ją gwałtownie): Nie... Boję się... *Mery!* Miej litość nademną!

Mery (wciąż blisko jego ust): A jeśli ja sama stąd ucieknę? Zostanę nauczycielką... urzędniczką... Będę chodziła w bawełnianych pończochach i wykoszlawionych trzewikach... Będziesz mię kochał?

Ładys: Ja się tego lękam. Człowiek niczego tak się nie boi, jak zerwania z przyzwyczajeniami. Obawa przed nowym życiem, to obawa przed utratą dawnych przyzwyczajzeń. Dziś... wziąlbym cię w zgrzebnej koszuli. Ale codzienne, nędzne życie... nie wiesz, jakie to brzydkie.

Mery: Jesteś tchórz. (Odsuwa się od niego).

Ładys: Kocham cię.

Mery: Nieprawda! Jesteś tchórz. (Zmiana tonu, nieomal rozpaczliwie): Zaprzecz wszystkiemu, coś powiedział! Powiedz, że to nie prawda, żeś tego nie myślał! Ja teraz dopiero czuję ciężar tych strasznych słów! Jak kula w piersiach osuwa się swą wagą na serce, przecina tkanki, — jeszcze chwila, serce pęknie! Powiedz, że to był cyniczny żart, taki, jakimi wy lubicie się popisywać?... (Patrzy mu z trwogą w oczy. — Pauza): Mileczysz? (Pauza, — zmiana tonu): Chcesz zostać moim kochankiem, gdy wyjdę za mąż! Chcesz mieć kochankę w perłach i jedwabiach. Nie z tego, że będzie należała do innego! (Wzdrygnęła się): Zgoda na podział, byle tamten płacił perły, jedwabie, powozy, — ty bocznymi drzwiami będziesz się wkradal potajemnie..., będziesz zbierał resztki..

Ładys (gwałtownie): *Mery!*

Mery (wstała): I ty mnie uważasz za zdolną?... Takie umowy robi się już przed ślubem?... Boże! Jaki ty jesteś podły!

Ładys (ze spuszczoną głową): Kocham cię!

Mery: Nigdy! Rozumiesz? Nigdy.

Ładys: *Mery!*

SCENA 7.

Ciż. — *Henryk*.(Z drzwi w głębi wyszedł *Henryk* i zbliża się do nich):

Mery (nie widzi go): Nigdy... Skończone! Patrz (wskazuje na oczy): Ani jednej lzy! Choć we mnie wyje kilka psów... Ty nie wiesz, co może zdeptana duma... (postrzega *Henryka*, zatrzymuje się).

Henryk: Z panem Kurakiem wszystko w porządku. Już jest u mnie, a jeśli będzie chciał, może przenocować.

Mery (wyciągnęła doń rękę): Dziękuję panu.

Henryk (objął ich spojrzeniem, potem, wskazując na *Ładysa*): On zawsze ze wszystkiego umie korzystać... Nawet z gniewu pani. Zaakaparował panią na wyłączny użytek. Zaś jeśli pani myśli, że przyszedłem tutaj, żeby ścierać zdania z księdzem prałatem i prezesem... nie, tego pani z pewnością nie myśli.

Mery (budzi się z zamyślenia—*Ładys* natomiast milczy uparcie podczas tej rozmowy, po chwili odejdzie do fortepianu i tam w zamyśleniu zacznie brzdąkać): Rozmawialiśmy bardzo poważnie... Wie pan, co postanowiłam? Chcę wyjść za mąż.

Henryk: Doprawdy? Żal mi pani. Poddaje się pani woli gątkunku, który chce trwać... Choćby kosztem wszelkich ofiar — trwać!

Mery (zalotnie): Pan jest wrogiem małżeństwa?

Henryk: Jestem wrogiem wszystkiego, co utrwała życie,—to życie, które jest tak brzydkie i złe, że gdyby było jeszcze trochę tylko brzydszem i gorszem, straciłoby wszelki sens istnienia. W małżeństwie tkwi zasadnicza omyłka: że mężczyzna i kobieta, to ta sama rasa...

Mery (myśl jej zaczyna błąkać się daleko): Paradoks!

Henryk: Wcale nie! Kobieta tak samo daleką jest mężczyźnie, jak wrona krukowi. Choć gawron miejski sądzi, że to jest właśnie dobrana para małżeńska. Pani nie będzie się gniewać, jeśli ja będę źle mówił o kobietach?

Mery (j. w.): Proszę pana... niech pan się nie krępuje...

(Z brzdąkania *Ładysa* zaczyna się wyłaniać pieśń cygańska. chwilami nuci):

Henryk (zdecydował się): Nie... lepiej nie... Człowiek żyje złudą... Cały świat jest złudą... Jest mniej realny, niż nasze sny.

Mery (z bolesnym wyrazem twarzy, namiętnie): Więc co robić? Niech pan powie, co robić?

Henryk: Gdybyż to wiedzieć! Trzebaby znać ostatnią przyczynę, z nieskończonego łańcucha przyczyn... Albo mieć odwagę... powiedzieć sobie: nie!

Mery (j. w.): I palnąć sobie w łeb?

(Chwila milczenia).

Henryk (objął ją spojrzeniem, zreflektował się nagle, że w *Mery* rozgrywa się coś głębszego): Przepraszam panią. (Ciepłej): Pani jest źle!

Mery (twardo): Tak. Ale ja wierzę w życie... wierzę w różne inne rzeczy...

Henryk (j. w.): Pani jest znacznie szczęśliwsza odemnie. (Wskazał wzrokiem na *Ładysa*): On się w pani kocha... bez pa-mięci!

Mery: Zwierzał się panu?

Henryk (omija jej pytanie): Kobieta, w której kocha się przyjaciel, jest świętością.

Mery: Przestaje nią być dopiero, gdy się z nią ożeni.

Henryk (uśmiechnął się blado): I tak bywa! (Ciepłej): Pani wie, pani ma we mnie szczerego przyjaciela.

Mery: Dziękuję panu. Człowiek musi sam robić swoje życie. Wszystko inne niewiele warte.

(Z drzwi w głębi wychodzi *pani Tekla, Leokadja, Prałat, Prezes i Burba*).

SCENA 8.

(*Mery*. — *Henryk*. — *Ładys* (przy fortepianie). — *Pani Tekla*. — *Leokadja*. — *Prałat*. — *Prezes*. — *Burba*. — *Aleksander*).

Pani Tekla (w drzwiach). Mój Aleksandrze... Zaraz czarną kawę i świecę... (wskazała stolik).

Prezes (zatrzymał się przy stoliku): Siadamy?

(*Aleksander* wszedł, zapala świecę na stoliku).

Leokadja (do *Burby*): Pan gra z nami?

Burba: Może państwo zwołnią mię dzisiaj.

Prałat (podszedł na przód sceny, zadowolony, zaciera ręce): Zapiszemy pana na pierwszego wychodzącego... (Do *Mery*, z wymówką): Dlaczego pani nie chciała jeść kolacji? Sprawila pani przykrość pani hrabinie i nam wszystkim.

(*Ładys* wstał na chwilę od fortepianu, rozmawia z *Leokadją* i hrabiną, potem wraca brzdąkąc).

Prezes: Prałacie!

Prałat (wziął pod rękę *Henryka* i idąc do stolika): Pentarka była wyborna!... I co to za wdzięczny owoc — pomidor! W każdej przyprawie — doskonały!...

(*Aleksander* i *lokaj* wnoszą tacę z czarną kawą i likierami).

(*Burba* zbliżył się do *Mery*. *Pani Tekla, Prezes, Leokadja, Prałat*, zasiedli przy stoliku, *Henryk* stanął przy nich, potem



postrzegłszy, że *Burba* zajął jego miejsce przy *Mery*, usiadł przy *Leokadji*).

Burba (mówi przyciszonym, głębszym głosem): Pani bardzo zdenerwowana?

Mery: Nie... (Chwila milczenia).

Burba (po chwili wahania): Pani pozwoli mi być szczerym?

Mery (pół ironicznie): Panie, czy to wypada? W salonie!

Burba (zajęty tokiem własnych myśli): Pani... bardzo go kocha?

Mery (zaskoczona cokolwiek, z chłodną wyniosłością): Kogo?

Burba: Niech pani się nie gniewa... (spojrzeniem wskazał *Ładysa* przy fortepianie): Pani wie...

Mery (przez chwilę milczy, a potem półgłosem, akcentując każdy wyraz): Ten człowiek będzie mi zawsze obcy i daleki.

Burba (z utajoną radością): Nie kocha go pani?

Mery (ciągnie dalej, już dając się ponieść namiętności): Gdybym odnalazła w sobie, ślady... takiego uczucia, wypaliłabym je czerwonym żelazem, jak jad.

Burba (śmieje): Ja wiem, że pani go kochała... Dlatego nie śmiałem nigdy mówić... Nie jestem godzien pani. Nie mam tych... zalet, co oni... (wzrokiem powiódł po głębi salonu): Tolerują mnie, bo mam majątek, robię interesy, jestem potrzebny... Czuję sam najlepiej, — w towarzystwie — nie dorównam im nigdy. Nigdy nie będę miał ich swobody, pewności siebie... Nawet w ubraniu! (Uśmiecha się): Ten sam krawiec ubiera mnie... inaczej. Gdy który z nich zrobi dowcip... czy tylko powtórzy, wszyscy się śmieją, cieszą... Ja powtarzam gdzieindziej ten sam koncept... nikt się nie śmieje. W fabryce, w kancelarji, w sali posiedzeń, — mam autorytet. W salonie wiem, jestem pozbawiony (śmieje się trochę sztucznie) wszelkiego wdzięku. Nie mogę im sprostać. Ale, pani wie, byłbym szczęśliwy, byłbym najszczęśliwszym z ludzi...

Mery (patrzy na niego uważnie): Pan wie, że ja pana nie kocham?

Burba: Wiem... lecz uczucie powstaje w różny sposób. Czasem gwałtownie, bezpośrednio, jak burza w lipcu... Czasem znów powoli... jak troskliwie hodowana roślina, na gruncie przyjaźni, wzajemnego zrozumienia... Głęboka miłość jednej strony musi w końcu wzruszyć drugą... Może takie uczucie jest... niższego gatunku... Bywa za to trwalsze, pewniejsze... (Zmiana tonu): Pani z nim mówiła teraz?

Mery: Tak. I od dziś... będzie mi obcy.

Burba: Ja rozumiem... to jest z mojej strony zuchwalstwo, sięgać po taki cud świata... (*Mery* protestuje lekkim gestem i bladym uśmiechem): Ale... gdyby pani zgodziła się. Boże... ze

mnie stalby się inny człowiek... Niech mi pani wierzy. Jestem pewny, że nawet stalbym się mniej brzydki, bardziej elegancki, dowcipniejszy...

Mery: Powiedziała panu: nie kocham pana. Mimo to... ja gotowa byłabym zgodzić się... (Burba składa ręce, chce mówić, ona giestem zamyka mu usta): Niech pan czeka. Tutaj... w tym domu... dłużej zostać nie chcę. Jeśli za pana wyjdę, będę chciała pana pokochać. Pan wzruszył mię teraz... uczucie rodzi się z wzruszenia. Ja nie będę się bronila... przeciwnie... Ale... tak jak teraz... mogłabym być dla pana tylko towarzyszką... Niech pan wyhoduje... tę delikatną, wątłą roślinę... będę panu wdzięczna... Jak wdzięczna! Pan jest uczciwym człowiekiem. Dlaczego nie miałabym pana pokochać? W panu jest siła. (*Ładys przy fortepianie gra i śpiewa półgłosem teraz „hajda — trójka“, z dziką namiętnością*): Pan nie jest salonowym Don Juanem! W panu tkwi człowiek głębszy, na którym można się oprzeć. Ale ja chcę — nawet w małżeństwie — zachować własną wolę, żyć własnym życiem. (Z bladym uśmiechem): Nie przyrzekam posłuszeństwa.

Burba (z niedbałym giestem, porwany radością): Zgoda!

Mery: Jeśli pan zdoła... Jeśli będę mogła pana pokochać, — tak jak ja kochać umiem i rozumiem, — będę szczęśliwa... Wszystko inne... co dziś boli... wyschnie jak chwast, odpadnie jak kłosek od czystego ziarna... Pan sam nie uwierzy, jak ja byłabym szczęśliwa!... (Pieśń Ładysa milknie).

Burba (bierze jej rękę): Pani zgadza się?

Mery (patrzy mu w oczy): Tak. Ale pan przyjmuje ryzyko?

Burba: Jestem szczęśliwy!

Mery (cieplej): Pan nie wie... nie domyśla się nawet, co jest prawdziwe szczęście.

Burba: Znałem w życiu tylko powodzenie. Szczęścia — prawdziwego, — nie spotkałem, — nie znam.

Mery (j. w.): Chciałabym... Bardzobym chciała... ażeby pan mógł poznać je ze mną.

(Przy stoliku skończono robra... Leokadja wstała, zbliżyli się do stolika Henryk i Ładys, który wciąż niespokojnym wzrokiem spogląda w stronę Mery).

Pani Tekla (głośno do Burby): Panie Burba! Skończyliśmy robra! Czekamy!

Burba (wstaje, cicho do Mery): Czy można powiedzieć?

Mery (twardo): Tak.

Burba (postąpił parę kroków w głąb ku stolikowi): Pani hrabino! Stała się rzecz wielkiej dla mnie wagi...

Pani Tekla (zdziwiona): Co się stało? (wstaje od stolika i opierając się na lasce, zbliża się do Burby, na środek sceny).

Leokadja (do *Henryka*): Oświadczył się!

Henryk (poruszony): Co pani mówi!

(*Ładys* znieruchomiał w głębi).

Burba: Prosiłem pannę *Mery*, by zechciała zgodzić się zostać moją żoną.

Pani Tekla (zwróciła wzrok w stronę *Mery*): A ona? Zgodziła się?

Burba (składa głęboki ukłon): Jeśli pani zezwoli...

(*Prałat* wstał i zbliża się, zacierając ręce, z radosnym wyrazem twarzy. *Leokadja* i *Henryk* podchodzą również. Nawet *Prezes*, acz niezbyt chętnie, uważa sobie za obowiązek ruszyć się z miejsca. Tylko *Ładys* pozostaje w głębi).

Pani Tekla (do *Mery*, bez czułości): Chcesz wyjść za pana *Burbę*?

Mery (j. w.): Tak.

Pani Tekla (do *Burby*): Proszę pana... jeśli chodzi o mnie... Pan jest zacnym człowiekiem... (Do *prałata*): Prawda?

Prałat (j. w.): Panna *Mery* nie mogła zrobić lepszego wyboru!... (*Pani Tekla* wyciąga rękę do *Burby*, którą on z szacunkiem całuje).

Henryk (do *Mery*): Tak nagle... takie postanowienie!

Mery (j. w.): *Hamlet* był mężczyzną, drogi panie.

Pani Tekla: Ostatecznie... ja nawet bardzo się cieszę... (Do *prezesa*): *Prezesie*... co za niespodzianka! Trzeba go zwolnić z *bridge'a*... (Do *Mery*): Możesz mię pocałować.

Mery (zawahała się, jednak całuje panią *Teklę* w rękę, ona pochyla się i składa pocałunek na jej czole. *Prałat* robi znak krzyża, mruczając łacińskie błogosławieństwo).

(*Zastona spada*).

A K T II.

Scena przedstawia małą polankę, w dzikiej części parku, łączącą się z zagajnikami. Wążka drożynka wpija się w gąszcz. U wylotu drożynki stanowisko myśliwskie, zasłonięte zielonemi gałęziami. Z prawej strony na polance duże drzewo, pod niem ławka.

SCENA 1.

Mery. — Ładys.

(Na stanowisku stoi *Mery*, w myśliwskim stroju, z sztucerkiem w ręku. Nagle w krzakach coś dostrzegła, broń drgnęła w jej dłoni, już ma się złożyć... Z krzaków wychodzi *Ładys*, również w stroju myśliwskim, z bronią, zawieszoną na ramieniu).

Ładys (widzi jej ruch, wesoło): Nie rób tego. Daj pokój. Czy ja wyglądam na kozła? Przyprawiałem rogi innym, — mnie jeszcze nie wyrosły.

Mery (twardo): Nie wolno schodzić ze stanowiska.

Ładys (lekceważąco): Ech, takie polowanie... Wierzysz w talenty myśliwskie Henryka? Może zresztą błąka się w tych gąszczach jaki anemiczny koziołek... Ale naganka jeszcze nie ruszyła... Nawet trąbki nie było... (Po chwili): Mało brakło, byłabyś do mnie wygarnęła.

Mery (j. w.): Tak.

Ładys (w dalszym ciągu, z nieco sztuczną wesołością): To najlepszy sposób pozbycia się niedogodnych krewnych. Ja wystrzegam się zawsze rodzinnych polowań. Wsadzą kulę w skroń, — „tragiczny wypadek na polowaniu“, — sam djabeł prawdy nie dojdzie, — a zakąła familji usunięta.

Mery: Bywa tak?

Ładys: Made in Germany!... (Zmiana tonu, przyciszonym głosem): Dla czego nie chcesz mi dać chwili rozmowy? Unikasz mię!...

Mery (obojętnie): Nie.

Ładys: Tak!

Mery (j. w.): Jeśli masz takie przekonanie, powinienes wynieść z niego odpowiednie wnioski.

Ladys (głucho): Nawet na ślub nie przysłałaś mi zaproszenia.

Mery: Ślub był bardzo cichy. Zresztą, — po co?

Ladys: Zapomniałaś zupełnie?

Mery: O czym? (Krótka chwila milczenia).

Ladys: Dlaczego odsyłaś moje listy?

Mery: Nie chcę ich czytać.

Ladys: Nie wiesz, co w nich może być!

Mery: Nie jestem ciekawa.

Ladys: Raz jeden byłem uczciwy, — względem ciebie, — raz jeden rozum mój oparł się namiętności, — i to było właśnie moje największe szaleństwo! Nie chciałem wiązać twego życia z mojem! Ułakłem się odpowiedzialności. I za to zostałem ukarany. Jak! *Mery*! Nie wiesz, co ja przechodzę od kilku miesięcy. To graniczy z obłądłem! Jestem w twojej mocy. Nie opuszczasz mię na chwilę. Czaję nieustannie twoją obecność... Słyszę szelest twojej sukni, zwodny ruch powietrza niesie zapach twoich włosów. Twoje myśli muszą być ze mną.

Mery (z chłodną ironją): Jeśli ci to złudzenie wystarcza, — proszę...

Ladys: Ale potem wraca rzeczywistość, chwytą za trzewia, szarpie bez litości... Ty jesteś daleko, przy innym, nawet zbliżyć się do ciebie niepodobna. Gdy jesteś w mieście, ja całymi dniami jeżdżę po ulicach, w nadziei, że cię spotkam. Patrzę w okna twego mieszkania... może ujrzę cię twój za firankami! Obiegam wszystkie teatry... może gdzie będziesz! Parę razy... kiedy mogłem zamienić kilka obojętnych słów... nigdy sam na sam... — słowa brzmiały głucho, martwo, — ja w duszy mówiłem inne, i tyś musiała je słyszeć... Modliłem się o jedno łaskawe spojrzenie. Byłaś bez miłosierdzia! Uprosiłem Henryka, by urządził to polowanie... by pozwolił mi przyjechać niespodziewanie. (Spojrzał jej w oczy): Gdybyś była wiedziała?...

Mery (odgrała jego pytanie): Tak. Nie spotkałbyś mię tu. (Ironizuje): Więc pan Goślicki podjął się roli pośrednika? Dobry przyjaciel!

Ladys: Nie powinienem był ci tego mówić!

Mery: Przyjaźń objawia się u was w takiej właśnie solidarności! (Zmiana tonu): Czy to już wszystko?

Ladys: Tyś nie mogła zapomnieć! Czemu bronisz się sama przed sobą? Chciałaś iść ze mną w świat, rzucić wszystko, zerwać ze wszystkimi! Ja, szalony, zawahałem się! Ale tego, co było głęboko... w duszy, wytrząsnąć nie można. Ty jego kochać nie możesz!

Mery (wyniośle): Dosyć!

Ladys: Nie możesz!

Mery (zo spokojną, lecz gryzącą ironją): Ty chciałbyś już zostać moim kochankiem. To byłoby najwygodniejsze. Bez żadnych obowiązków, bez żadnych zobowiązań, — sama przyjemność! Chcę ci oszczędzić złudzeń. Już dziś nie wiem, czy cię dawniej kochałam... ale wiem z pewnością, że teraz nie kocham cię wcale. Więcej jeszcze:—Gdybym cię kochała,—n a w e t gdybym cię kochała, nie przyszłoby ci z tego nic... Nigdy! Nie przez tak zwaną uczciwość... Nigdy!

Ladys: W tem co mówisz, tkwi sprzeczność, — tkwi przyznanie, że nie jestem ci obojętny.

Mery (niedbale): Proszę cię... Jeśli cheesz tak właśnie...

Ladys (uparcie): Ja wiem, że jest inaczej...

Mery (przerywa, wyzywająca): Co wiesz?

Ladys (ze spuszczeniem oczami): Przed miesiącem... byłem w potrzebie. Przegrałem większą sumę w karty. Nie mogłem nikąd dostać pieniędzy. Byłem blizki... kuli w łeb. Już nawet zacząłem pisać do ciebie... z wesołem pożegnaniem. Wtedy z poczty przynoszą list, w kopercie, zaadresowanej nieznaną ręką, tylko czek bankowy... ani słowa, tylko czek... Wziąłem te pieniądze... Wiedziałem, że one były od ciebie. (Podnosi oczy).

Mery (j. w.): Zdaje mi się, że istotnie... twoja głowa nie jest w porządku...

Ladys (uparcie): Te pieniądze były od ciebie. Nikt inny nie mógł mi ich przysłać.

Mery: Śmieszny jesteś!

Ladys: Bronisz się sama przed sobą. Darcemnie! Ja wiem, że nie jestem wiele wart. Byłem małoduszny. Tak. Ale już wówczas, znałaś mię dobrze, wiedziałaś o moich wadach, o moich brakach... Kochałaś mię, mimo to.

Mery: Nie wiem... Zresztą, sam mówiłeś, pod wpływem sugestji widzi się to, co się widzieć pragnie.

Ladys: Kochałaś mnie... i nie mogłaś przestać kochać, — jak nie możesz kochać swego męża, nie możesz być z nim szczęśliwą...

Mery (twardo): Jestem zupełnie szczęśliwa...

Ladys: Nie wierzę. Gdybyś nawet w tej chwili była szczerą,—nie wierzyłbym. Oszukiwałabyś samą siebie. Raz — kiedyś — powiedziałaś, że najczęściej dzięki temu, co czynimy, dowiadujemy się, czem jesteśmy. Wszystko, co się dzieje, od rzeczy najmniejszych do największych, dzieje się z konieczności, która jest ponad nami. Ty należysz do mnie, — mimo wszystko, — tylko do mnie! Twoje szczęście jest tylko ze mną, a najwyższem prawem, jedynym celem człowieka na ziemi, jest szczęście! (Rozpaczliwie): Ja bez ciebie stoczę się w przepaść! Ty jedna możesz mię uratować!

Mery (przyciszonym głosem): Słuchaj, gdybym cię widziała nad przepaścią... gdybyś tonął, a dotknięcie tego małego palca mogło cię uratować, — nie wyciągnęłabym go. Masz słuszność! Nie jesteś mi obojętny! Pomyliłeś się tylko co do rodzaju uczucia!

Ładys (tryumfuje): Nieprawda! Kochasz mię! Teraz widzę jasno! Kochasz mię.

Mery (unosi się coraz silniej): Nienawidzę cię... I gdybym się myliła, gdybym postrzegła, że ta nienawiść... to co innego, — znienawidziłabym samą siebie... pchnęłabym samą siebie w przepaść. Chcę, byś zszedł z mej drogi. Chcę zapomnieć, żeś kiedykolwiek istniał. Nie pozwolę, byś zakłócał mi spokój. Kocham mego męża. Należę do niego. Jestem z nim szczęśliwa.

Ładys (chrapliwie): Nieprawda!

Mery (j. w.): A gdybym kiedykolwiek przestała go kochać, dziś, jutro, za pięć lat, — gdybym miała kochanka... dziesięciu kochanków, — ty między nimi, nie będziesz nigdy!

Ładys (chce ją wziąć w ramiona): Będziesz moja!

Mery (odtrąca go brutalnie): Nigdy!

SCENA 2.

Ciż. — *Henryk*. — *Burba*.

(Z prawej strony nadchodzą *Henryk* i *Burba*, obaj w myśliwskich strojach, z sztucerami).

Henryk: Wstrzymaliśmy naganę. Wie pani, co się stało? Jest pan Kurak. (*Burba* podejrzliwym wzrokiem objął *Ładysa*).

Mery: Doskonale!

Henryk: Lecz równocześnie do pałacu zajęchał naczelnik straży ziemskiej ze strażnikami. Szuka Jana Masiółka.

Mery (nie rozumie): Masiółka?

Henryk: Masiólek, to on. Pod tem nazwiskiem mieszkał u leśniczego... (Z uśmiechem): odkąd pani zawdzięczam jego znajomość.

Burba (do *Mery*): W oczach masz gorączkę.

Mery: Nic mi nie jest. (Cała rozmowa półgłosem. — *Ładys* i *Henryk* zostali o parę kroków w głębi).

Burba (podejrzliwie): Rozmawiałaś z panem Siewierskim?

Mery: Tak. Czy mi nie wolno?

Burba: Wiedziałaś, że tu będzie?

Mery: Nie. Gdybym się chciała z nim zobaczyć, nie potrzebowałabym uprzejmego pośrednictwa pana Goślickiego.

Burba: *Mery*!

Mery: Sięgasz po prawa, których nie masz.

Burba: Gdybym je miał, gdybyś naprawdę była moją, wszelki niepokój byłby mi obcy. Jeśli tak jest, jak jest...

Mery (twardo): Dosyć! (Do Henryka): Co pan zrobi?

Henryk (zbliżył się): Służba dworska nie zna go... Wogóle tutaj nikt go nie zna, bo działał na leśniczówce... (*Żartuje*): Pani mię ubrała w tego przyjaciela... (Do Ładysa): Cóżes taki poważny?

Mery (z lekką ironją, do Henryka): Czy pan się... trochę boi?

Henryk: Ani trochę. Nienawidzę rozpraw z moskalami. Podobno mają jego fotografię.

Mery (gorącej): Pan go im nie da, prawda?

Burba (do Henryka): Dajmy pokój polowaniu.

Henryk: Mnie się wydaje, że właśnie nie należy przerywać. Pan naczelnik mógłby pomyśleć... że to z jego powodu...

Burba (Do Mery): Ja zostanę przy tobie.

Henryk: Nie... nie... Rozstawmy się... (z prawej strony wychodzi *Kurak*): Chodź-że pan prędzej. Jest naczelnik straży ziemskiej, z policjantami. Szuka Jana Masiółka...

SCENA 3.

Ciż. — *Kurak*.

Kurak (całuje w rękę Mery, potem wita się z Ładyssem): Pragnąłem panią zobaczyć... (Do Henryka): Nie znajdzie. Masiółka nie tak łatwo dostać. Dowiedziałem się, że pani tu będzie... nie mogłem oprzeć się pokusie...

Henryk (niecierpliwie): Panie, oni mogą lada chwila nadejść.

Kurak: Najgorzej byłoby uciekać... Z pewnością obstawili wieś... Niech państwo nie przerywają polowania.

Henryk: Ja myślę tak samo.

Mery (do Kuraka): Zostań przy mnie. (Podaje Kurakowi broń): Masz! Będiesz moim strzelcem. Szkoda, że nie masz kapelusza. Wiesz, że mają twoją fotografię?

Kurak (śmieje się): Trzeba będzie cokolwiek zmienić fizjognomję... (Wsunął głowę w kark, wykrzywił gębę, nadając twarzy inny wyraz, który potem, w rozmowie z naczelnikiem będzie starał się stale utrzymać): Szkoda, że nie można ostrzydz włosów. (Wszyscy uśmiechają się).

Ładys (zdjął swój myśliwski kapelusz i podaje Kurakowi): Niech pan weźmie mój kapelusz.

Henryk: A ty?

Ładys (z sztuczną wesołością): Jeszcze włosy mi nie wye-migrowały. Ciepło!

(*Kurak* rzuca swoją czapkę w gąszcza, przykrywa starannie liśćmi).

Burba (do Ładysa): Pan nie idzie z nami?

Henryk (niecierpliwie, giest na lewo): On zostaje na swoim stanowisku... (Do Mery): Droga pani, tylko strzelać ostrożnie. Linja jest kręta, stanowiska bliskie... (wskazał wzrokiem fuzję, którą trzyma Kurak): Taki sztucerek bije bardzo ostro... (wskazuje ręką na lewo): Ładys będzie stał tam... jak ten suchy świerczak.

Ładys: Ja zawołam... żebyś lepiej pamiętała... (idzie na lewo).

Henryk (do Burby): Idziemy... (do Mery). Za kilka chwil będzie trąbka. (Henryk z Burbą idą na prawo).

SCENA 4.

Mery. — Kurak.

Kurak (wskazuje ławkę): Nie chce pani usiąść?... Jeszcze czas...

Mery (idzie do ławki i siada): Ty jesteś spokojny, jak gdyby nie o twoją głowę chodziło.

Kurak (z uśmiechem): Nie dostaną jej.

Mery: Po co to wszystko?

Kurak: Trzeba. Rozkaz — i milczeć! (Zmiana tonu): Oнеgdaj byłem u matki...

Mery: Zdrowa?

Kurak: Postarzała się. Pytała się o panią.

Mery: Mieszka w tym samym domu — ze słonecznikami i malwami?

Kurak: Tak... O mnie mówi, że jestem jak ten ptak... — Lata, lata i ciągle bez pieniędzy! Przyszedłem wieczorem, już było ciemno. Przestraszyła się, gdym zapukał do okna. A potem, gdy mię zobaczyła, zaczęła płakać... Matka nie wie, a przeczuje... Gdym odchodził, stała w drzwiach, w smudze księżycy, znak krzyża czyniąc... Jedna tylko miłość jest zupełnie czysta, do bezinteresownych poświęceń zdolna, — miłość matki... Poza tem wszystko... (machnął ręką): Biedna matka, czy ją jeszcze zobaczę?...

Mery: Odwiedzę ją.

Kurak: Będzie pani bardzo dobra... (Daleki sygnał trąbki, odpowiada cokolwiek bliższy).

Mery (wstała): Naganka rusza... (bierze fuzję): Daj.. Ale tu nic nie będzie... (postąpiła parę kroków ku stanowisku, nagle zatrzymuje się, odwraca do Kuraka i zaczyna przyciszonym głosem): Ty masz umysł prosty...

Kurak (uśmiecha się): Chamski.

Mery: Dlaczego ty mi mówisz: pani? Jeśli ja ci mówię: ty... Powinieneś tak samo.

Kurak (śmieje się): Może być... ale nie będę potrafił. Jaśnie pani... a tu Wincenty Kurak, syn wdowy po gorzelanym.

Mery (ciepło): Głupi jesteś! Nie miałam nigdy brata... nie wiem, co to jest uczucie siostry... Zdaje mi się jednak, że to tak właśnie... Ja tobie ufam, wierzę, że jesteś lepszy od nich wszystkich. (Giest): Nie dla tego, co robisz... Ale dlatego, że żyjesz pewną wyższą ideą, nie codziennem zjadaniem chleba. Przy tobie i ja staję się lepszą. Kto wie, możebym jeszcze mogła...

Kurak: Gdyby pani tylko chciała!

Mery: Nie łatwo zerwać z życiem, które omotało tyłoma węzłami. Każdy dzień przeżyty... zostaje jak ciężar. Są takie ciężary, które osiadają na piersi, nie pozwalają chwycić świeżego powietrza... Słuchaj! Gdybyś widział przyczynę złego, która... życie zatrzuwa nieznośnym, — śmiertelnym jadem, która zagraża owdładnięciem, niemocą, upadkiem, — co byś uczynił?

Kurak (cokolwiek zdziwiony, patrzy jej w oczy): Usunąłbym ją. Wyciąłbym... wyżarłbym ogniem. Bez wahania. Pani coś grozi?

Mery: Sama sobie nie wierzę... Boję się siebie... Ty, ty jesteś szczęśliwy... nawet gdybyś zginął!...

Kurak (odgadł jej myśl): Tak... (Tajemniczo): Pani wie... tylko ani słowa! Jadę do Ameryki... Wysyłają mię... Byle tylko przekraść się przez granicę... Trzeba tam naszych poruszyć. Wojna w powietrzu.

Mery (swemi myślami zaabsorbowana): Nikt w wojnę nie wierzy...

Kurak: Inni wiedzą lepiej, widzą dalej. Będziemy przeżywać wielkie rzeczy... Pani! Co to będą za czasy! Już nie będziemy się ukrywać, nie będziemy się taić z naszą robotą, jak złoczyńcy. Wyjdziemy w pole, pod jasne niebo, z białymi orłami, z pieśnią na ustach. Pani! Co to będzie...

(Z prawej strony dość daleki strzał).

Ładys (z daleka, z lewej strony, krzyczy): Ja stoję tutaj... Proszę uważać!

Kurak (pokazuje na lewo w gąszcz): Widzi pani tam... między gałęziami... czubek głowy pana Siewierskiego... (Zmiana tonu): Teraz cicho?

Mery: Nie... mnie dziś to wszystko nie bawi... Mów dalej.

Kurak: W pani jest człowiek... Boję się, żeby z pani nie zrobili w końcu takiej samej kukły salonowej...

Mery: Ja jestem już...

Kurak: Nie... jeszcze nie. Ale życie wygodne, bez troskie...

i bezmyślne, to gładka pochyłość... Niech tylko kto pchnie... Same kłamstwa. same oszustwa... Pani byłoby szkoda...

Mery (poruszona, z ciepłą ironją): Wicek, ty się jeszcze kiedy we mnie zakcczasz.

Kurak: Nie mam czasu na romanse. Ale ja widzę w pani coś innego, niż oni... W pani jest płomień i duch.

Mery: Pewno się ludzisz! Ty jesteś naiwny dzieciak... Ty nie wiesz, co się kryje w duszy... jakie zbrodnie zdolną jest popełnić myśl... Stokroć gorsze te występki, za które niema odpowiedzialności, jak za czyny, — tylko przed sobą samym i przed Bogiem, — a które toczą duszę, jak rdza...

Kurak (poważniej): Pani się nie da? Prawda? Trzeba iść za głosem wewnętrznym. Tylko on jest niezawodny. Każdego człowieka nawiedza czart... Trzeba go zdusić... Pani zostanie czystą i silną, choćby przyszło...

Mery (z zaciśniętymi zębami, z płonącymi oczyma): Choćby... (przykłada nagle broń do ramienia i strzela dwa razy, w kierunku owego rdzawego świerczaka).

Kurak (przeżaszony, chwytając ją za ramię): Co pani robi? Tam... (jednocześnie ze strzałem okrzyk Ładysa i drugi dalszy).

Mery (broń drży w jej rękach, pobladła, bardzo wzruszona): Kozioł przemknął... w tej gęstwie... Chybiłam.

Kurak (j. w.): Co pani chciała zrobić?

(Na lewo gwar głosów).

Mery (opiera się o gałęzie zasłony, drżącym głosem): Zobacz... (odwraca oczy): Co się tam stało...

Kurak (bierze ją za ramię): Chodźmy...

Mery (opiera się, z nagłym lękiem): Nie., idź sam... czekaj... tylko usiądę... (Kurak prowadzi ją do ławki, Mery siada).

Kurak: Jak pani zbladła...

Mery: Zobacz... zobacz... co się tam stało...

(Ze sceną z lewej strony gwar rośnie. Kurak postępuje parę kroków w tym kierunku).

Naczelnik (za sceną, zbliża się): Tak kto strzelał?... Jej Bogu, umyślenno! Kula gwizdnęła tuż, tuż...

(*Mery* nadśluchuje bacznie).

Ładys (za sceną, zły): Po cóż pan się pcha do parku, wiedząc, że polują... (Mery odetchnęła głęboko, z bezwiedną ulgą): O wypadek nie trudno...

SCENA 5.

Mery. — Kurak. — Ładys. — Naczelnik. — Milicjanci.

(Z zagajnika z lewej strony wychodzą Ładys, przyciskający do twarzy lekko zakrwawioną chustkę, Naczelnik straży ziemskiej, dwóch strażników).

Naczelnik (ciągnie rozmowę, widocznie bardzo wzruszony): Jak raz mierzył we mnie... Czut' czut'... — i proszczaj Aleksander Iwanowicz... Nu, już niech pan hrabia wybaczy, ja na to zgodzić się nie mogę... (do jednego z milicjantów): Mietakow! Ty możesz zaświadczyć?

Milicjant (wyprężył się, wybałuszyl ślepią): Toczno tak, Wasze Wysokobłagorodie!

Naczelnik (postrzega Kuraka, surowo): Wy kto takoj?

Mery (wstała szybko z ławki): To mój strzelec.

(*Naczelnik* nie widział jej przedtem, stropił się, zwrócił się pytającym wzrokiem do Ładysa):

Ładys: Pani strzelała do kozła?

Mery: Tak.

Naczelnik (usiłuje być dworskim): A wot... o mały włos dwóch kozłów nie ubili... Graf dostał kulą koło ucha, a mnie tuż... tuż... A gdzie kozioł?

Mery: Chybiłam. (Z gięstem lekkiego przeproszenia): Bardzo mi przykro.

Naczelnik: Poszedł zdychać? (Do Ładysa): Pan hrabia raczy mię przedstawić.

Ładys: Pani pozwoli... Pan naczelnik straży ziemskiej... (zwraca się do *naczelnika*, jakby przepraszając, że nie pamięta jego nazwiska): Przepraszam.

Naczelnik: Aleksander Iwanowicz Czernousów. (Uderzył butami w ostrogi): Do usług pani hrabiny... (swobodnie): Nu, hrabia tak o włos, kula po skórze, — (wskazuje twarz): A mnie druga, gwizdnęła... (pokazuje ucho).

Mery (chłodno): Bardzo żałuję... ale pan jest nieostrożny.

Naczelnik: Nieostrożny? To ja nieostrożny?... (obrażony): Nu, pani hrabina daruje... ja tutaj po służbie.

Mery (j. w.): Należało zaczekać w kancelarji, aż się polowanie skończy. (Do Ładysa): Jesteś skaleczony?

Ładys: Ledwie draśnięty.

Naczelnik (oburzony): W kancelarji! A pozwolenie na broń u pani jest?

Mery (wyniosła): Niech pan się zwróci do mego męża.

Ładys: Pan Burba zaraz nadejdzie.

Naczelnik: Pan Burba! (Z nagłą złością do *Kuraka*): Ty czewoj na mienia tak smotrisz? (Do policjantów): Arestowat!

Mery (dumna, lecz zarazem niespokojna): Co to ma znaczyć? (Policjanci stają z dwóch stron *Kuraka*).

Ładys: Panie Naczelniku!

Naczelnik (uderzył w ostrogi, z ukrytą złośliwością): Izwinitle madam! Ja tut po służbie.

Mery: Pan nie ma prawa arestować mojego służącego...

Naczelnik (z tajoną złością, sili się na uśmiech): Ja nie mam prawa?... Pani hrabina wybaczy... Ja mogę każdego... i grafa (wskazuje na *Ładysa*)... i daże Was!..:

(Z prawej strony wchodzi pośpiesznie *Henryk*).

SCENA 6.

Ciż. — *Henryk*.

Henryk: Co się stało... (Do *naczelnika*): Dzień dobry panu... (Wyciąga bez zbytej uprzejmości dłoń).

Naczelnik: Moje uszanowanie! Ja do pana grafa po służbie.

Henryk (z wyniosłą uprzejmością): Pan będzie łaskaw do kancelarji. Tutaj mam gości... (Do *Ładysa*, wskazując na jego twarz): Co się tobie stało? (Zbliża się i ogląda).

Ładys: Nic... małe zadraśnięcie.

Henryk (do *Mery*): Pani strzelała?

Mery: Tak.

Henryk: Do kozła? (Mery skinęła głową).

Naczelnik (do *Henryka*): A mnie kulka gwizdnęła... (pokazuje): tuż... tuż... Mało brakło i Aleksander Iwanowicz Czernousów (giest, mający oznaczać, że pożegnałby ten padół).

Ładys (podsunął się do *Mery*, szeptem): Jestem szczęśliwy... Nigdy nie byłem szczęśliwszy... Teraz wiem... jestem pewny... Musisz być moją!...

Mery (odwróciła się gwałtownie, postąpiła ku *Henrykowi*, i wskazuje *naczelnika*): Ten pan chce arestować mojego strzelca!

Henryk (dumny): Co to ma znaczyć? Panie Naczelniku!

Naczelnik: Izwinitie, graf! Służba! Ja obowiązany zrobić do-pros! Państwa nie będę bezpokoić... (z uśmiechem cokolwiek ironicznym): Ja wiem, że pan graf i jego goście blagonadieżny, dostojny zaufania. Nie byłoby tych przeklętych inteligentów i rewolucjonistów!...

Henryk (z uśmiechem, do *Mery*, półgłosem): Podoba się pani ta nasza „dostojność“?...

Naczelnik (ciągnie dalej): Pani hrabina zechce nie gniewać

się... Już my wiemy, gdzie szukać buntowników. (Do Kuraka, ostro): Paszport?

Kurak (z fantazją, pomacał się po kieszeni): Nie wziąłem z sobą, panie naczelniku! Pani hrabina kazała wsiąść na kozioł... nawet śniadania nie zdążyłem wypić.

Naczelnik (objął go badawczym spojrzeniem): Nu niczewo... (Do Henryka): Pan hrabia raczy pozwolić, że ja z nim (wzrok w stronę Kuraka): w cztery oczy... (Zbliżył się do Kuraka).

Mery: Ja nie mogę dopuścić, żeby mojego strzelca...

Henryk (uspokaja ją): Nie trzeba jątrzyć bez potrzeby...

Ładys: Możeby go zaprosić na obiad?

Mery (pogardliwie): Z nim... do stołu?

Henryk: Każę zawołać administratora... On potrafi lepiej takie rzeczy... Wypiją butelkę... znajdują się inne argumenty... Chodźmy... (głośno): Zostawiamy pana, panie naczelniku, — ale nie na długo... (Bierze ociągającą się cokolwiek Mery pod ramię i idzie na prawo, za nimi Ładys).

SCENA 7.

Kurak. — Naczelnik. — Policjanci.

(Naczelnik rozsiadł się wygodnie na ławce, założył nogę na nogę, zapala papierosa).

Naczelnik: Blżej... Twoja familja?

Kurak (udaje, że nie rozumie): Nie mam żadnej familji, panie naczelniku. Ojciec dawno nie żyje.

Naczelnik (porywczo): Ja pytam, jak się nazywasz?

Kurak: Teofil Stefaniak.

Naczelnik: Dawno służysz?

Kurak: Dopiero co nastąłem... od czterech tygodni... Ale odejde... Duże wymagania, a pensja mała.

Naczelnik: A ona... grafini?

Kurak (lekką ironizuje): Jaśnie wielmożna hrabianka Ogrzawska... Wyszła za pana Burbę...

Naczelnik: Ja wiem... Niegosławice... Bogaty pan!..

Kurak: Cóż nam z tego że bogaty... Pensja taka sama, jak u innych. (Chwila milczenia).

Naczelnik (nagle innym, groźnym tonem): A ty Kuraka znajesz?

Kurak (śmieje się głupkowato): Kuraka? Jakiego kuraka?

Naczelnik: Onże Bartek... onże Biały, Masiołek...

Kurak (j. w.): Bartka, owszem, znałem. Nawet dwóch. Ale żaden nie był biały.

Naczelnik (wraca do dawnych myśli): Ona oczeń gorda, — grafini?

Kurak (nie rozumie): Gorda?

Naczelnik: Dumna pani, co?

Kurak: Mają pieniądze... wszyscy im się kłaniają, to i dumni...

Naczelnik: A ona, grafini... Żadnej szkółki sekretnej? Dzieci chłopskich nie uczy?

Kurak: E... gdzie jej tam w głowie! Suknie... kapelusze...

Naczelnik: Wot... Ona by popała w moi ruki! Nu... Potańcowałaby, pani hrabina... Tak jejo razdiet', da rozgami... do krwi... Pani hrabina nie ma nic do powiedzenia? Nu... (Zmiana tonu, życzliwie): Ty brat, rozmawiaj ze mną szczerze. Ja nie lublu tych grałów... Ja trzymam z narodem... Wasz człowiek... Ty mów, jak ze starszym bratem...

Kurak (udaje, że został tą serdecznością ujęty): Niech pan naczelnik pyta... będę odpowiadał, jak... starszemu bratu.

Naczelnik (wyjmuje portfel, szuka w nim): Wot charaszo, wot otliczno... (nagle zmiana tonu, groźnie — wtykając przed nos fotografię): Ty jewo znajesz?

(*Kurak* rzucił okiem na fotografię, nieznacznym ruchem kapelusza na oczy nasunął, twarz z głupkowatym uśmiechem wykrzywił, przygarbił się).

Naczelnik (j. w.): Wincenty Kurak! Onże Bartek, onże Biały... onże Masiólek...

Kurak: Pan naczelnik pozwoli... Ja zblizka nie dobrze widzę... Pani na służbie nie pozwala nosić okularów... (wyjął okulary, nakłada na nos, do reszty zmieniając wyraz twarzy, przygląda się długo fotografii, kiwa głową, — nagle): Mnie się widzi, że ja jego znam!

Naczelnik (poruszony): Ty jewo znajesz?

Kurak (wziął fotografię do rąk, tak, żeby naczelnik nie mógł na nią patrzeć i robić porównania): Tak jest, widziałem go, Blondyn, trochę zezuje... Wczoraj na stacji... Pani kazała dowiedzieć się w kasie o pociągach... przedemną stał właśnie taki... blondyn i kupował bilet.

Naczelnik (porywczo): Gdzie kupował bilet?

Kurak: W kasie.

Naczelnik (j. w.): Durak! Dokąd kupował?

Kurak (wciąż nie oddając fotografii): Do Granicy. Słyszałem wyraźnie: do Granicy. Panie Naczelniku! On już dziś pewno w Krakowie!

Naczelnik: Tyby jego poznał?

Kurak: Jak pana naczelnika! Stał przy mnie tak (ustawia

się przy policjantach w ten sposób, żeby naczelnik jak najmniej mógł widzieć jego twarz).

Naczelnik (po chwili namysłu): Posłusz... ty nie pojechałby w Granicę? Ja tobie dałby ich... (wskazuje policjantów): A woś on jeszcze tam?...

Kurak: Może i tam... Ale w Krakowie pewno łatwiej byłoby go spotkać.

Naczelnik (namawia): Ty i tak chcesz odejść od tej... grafini. U nas zarobisz dobrze. A jeśli go przywieziesz, (wstał, położył rękę na ramieniu Kuraka), – nu, gołubczik, už my by wypili! Tri miesiaca my iszczem etu kanalju!... Życie się przykrzy!

Kurak: Dla czego nie? Pan naczelnik powie, że mnie zatrzymuje...

Naczelnik (pracuje myślowo): Da... da...

Kurak: A gdyby go nie było w Granicy? Pan naczelnik nie może dać przepustki do Krakowa?

Naczelnik (urażony w swej godności): Jakto, nie mogę? Rozumie się, że mogę!

Kurak: Ja w Krakowie mam znajomych... Moznaby się wywiedzieć, dopilnować, gdyby wracał... (Z głęboką wiarą). Panie Naczelniku! Jego noga tu nie postanie, żebym ja o tem nie wiedział. Bo „takie“, to zawsze wracajom!

Naczelnik (znów go poklepał po ramieniu): Ty mudrec! Tobie będzie dobrze z nami...

Kurak: Tylko, panie naczelniku, ja nie wziąłem z sobą pugilaresu... (giest, że niema pieniędzy).

Naczelnik: Niczewo... (uśmiecha się): Ja tobie „pożyczę“ pięćdziesiąt rubli...

Kurak: Mało!

Naczelnik (surowo): Dostatoczno! Uławi ty jowo tolko...

Kurak (uprzejmy, lecz uparty): Mało!

Naczelnik (niecierpliwie): Nu... ja tobie dam siedmdziesiąt piat'... a ty mnie kwitancju na sto piat'dziesiąt...

Kurak: Dłaczego na stopiećdziesiąt?

Naczelnik (surowo): Taki obyczaj. (Do policjanta): Mietakow, ty z nim pojedziesz w Granicę... (Spojrzał na zegarek): Pojezd uchodit za dwa czasa...

Kurak: Trzeba zaraz jechać... Ta fotografja, to już niech zostanie u mnie... (chowa).

Naczelnik (zawahał się, machnął ręką): Nu, pażaluj! Pajdiom w kancelarju... (ruszają się z miejsc, ku prawej stronie, naczelnik zatrzymuje Kuraka): A wot, grafini! Ona nie znała jowo?

Kurak: Tego nie wiem, panie naczelniku...

(Z prawej strony naprzeciw nich wychodzą *Henryk*, *Administrator*, *Mery* i *Burba*).

SCENA 8.

Ciż. — *Administrator*. — *Henryk*. — *Burba*. — *Mery*. —
Później *Ładys*).

Administrator (zaaferowany, spieszy do naczelnika). Aleksander Iwanowicz, radi Boga, czto wy zdieś ustraiwajecie?... (Wita się z nim).

Naczelnik (radośnie serdeczny): Wienczesław Mieczisławowicz! Proszu Was, nie bezpokojties...

Kurak: Pan naczelnik pozwoli, że pożegnám państwa?...

Naczelnik: Niczewo... (Do administratora): Ja tut po służbie... Ja wam siejczas raskażu... (rozmawiają na uboczu).

(*Burba*, przybliża się do nich, powitania, naczelnik ugrzeźniony, z lewej strony wszedł *Ładys*, bez fuzji):

Kurak: (do *Mery*, półgłosem): Wszystko jak najlepiej. Niech pani będzie spokojna... Byle tylko państwo potem...

Mery: O to się nie troszcz!

Kurak (ciszej, z uśmiechem, obojętawszy się, czy naczelnik go nie widzi): Jadę szukać Wincentego Kuraka, w Granicy i w Krakowie... będę miał prawdziwą, niesfałszowaną przepustkę... Pierwszy raz!

Mery: Nie rozumiem.

Kurak: Miał moją fotografię w rękę... i nie poznał.. Myślałem, że ryknę... A w kieszeni ściskałem brauning... Zaangażował mię do ochrony, — taki grzeczny! Jeszcze na tym interesie zarobię...

Mery (nie może powstrzymać się od uśmiechu): Ty jesteś czysty warjat!

Kurak (z fantazją): Niczewo! (Do *Ładysa*, który się do nich przybliżył): Kapelus z zostawię w palacu.

Ładys (cicho): Niech panu służy na pamiątkę. Pożyczę sobie od Goślickiego...

Kurak (głośno, postrzegłszy, że naczelnik skończył swoją rozmowę): Jaśnie pani, to nie moja wina... (wskazuje naczelnika).

Naczelnik (uderzył dworsko w ostrogi): Pani hrabina wybaczy... Służba!... (Do administratora): Tak idiom, Wienczesław Mieczisławowicz...

Administrator: Idiom!

Mery (skłoniła głowę naczelnikowi. — Do *Burby*): Proszę cię... idź z nimi... Może trzeba będzie coś dać...

Naczelnik pożegnał się z *Henrykiem* i *Ładyssem*.

Burba (obejrzał się nieufnie w stronę *Ładysa*, niezbyt chętnie decyduje się): Dobrze...

Naczelnik (znów dworsko uderzył w ostrogi): Sługa! (Do policjantów, między którymi zajął miejsce *Kurak*): Poszli!

(Wychodzą naprzód policjanci z *Kurakiem*, potem *naczelnik* z *Burbą* i administratorem. *Henryk* przeprowadza ich).

SCENA 9.

Mery. — *Ładys*. — *Henryk*.

Ładys (został sam przy *Mery*, która usiadła na ławce, siada przy niej): Zostajesz?

Mery: Tak.

Ładys (ciszej): Nigdy nie byłeś mi droższą! Teraz wiem, że zmagasz się sama z sobą. Łatwiej zabić człowieka, niż uczucie, które wżarło się w krew.

Mery (jak gdyby nie słyszała jego słów): Panie *Henryku*!

Henryk (wraca do niej): Co pani rozkaże?

Mery (z uśmiechem, wskazuje mu miejsce na ławce obok siebie): Nie zostanie pan z nami? Do obiadu jeszcze czas...

Henryk: Chętnie. (*Naczelnik*, *Burba* i administrator znikają w zagajniku): Ten pani *Kurak* z każdej awantury wyjdzie cało, dopóki głową nie zapłaci. Zazdroszczę mu: wie, dokąd idzie. Zazdroszczę każdemu człowiekowi, któremu zdaje się, że odnalazł sens życia.

Mery: Trzeba chcieć!

Henryk: To mało. Trzeba się zdobyć na zdolność chcenia.

Ładys (do *Henryka*): Jeśli się chce czegoś mocno, gorąco, nieodwołalnie, — to musi się stać, prawda?

Henryk: Mój drogi, wszystko, co czynimy, jest skutkiem, wynikającym z konieczności. Człowiek jest takim, jakim chce być, ale chce być takim, jakim być musi. (Do *Mery*): Dlatego trzeba być wyrozumiałym. Czy można mieć żal do zegarka, który źle chodzi? Trzeba zwrócić się z pretensją do zegarmistrza.

Mery: Jestem niespokojną o *Kuraka*. (Do *Henryka*): Sądzi pan, że go wypuszczą?

Henryk: Jestem pewny. Gdyby się upierali, spróbujemy innych sposobów. (Z uśmiechem): Pani się w nim kocha.

Mery (śmieje się): Prawie. I to mój pech. Miłość bez wzajemności! On wcale we mnie nie widzi kobiety.

Henryk (j. w.): Zbrodniarz!

Mery: A mimo to... mam przekonanie, że gotów byłby dla mnie... i on, i jego matka... do wielu rzeczy, choć pan *Siewierski*

(giest niedbały w stronę Ładysa) twierdzi, że jedynym, ostatecznym celem człowieka na ziemi jest jego własne szczęście.

Ładys: Pragnienie szczęścia jest wrodzone człowiekowi. Ty sama go pożądasz, sama za niem tęsknisz.

Mery (j. w.): Czuję się zupełnie szczęśliwa. Nie próbuj czytać w cudzej duszy. To nie twój rodzaj.

Ładys (śmieje się, cokolwiek nerwowo): Chcesz powiedzieć, żeś za głupi? Być może. Ale prosta moja myśl nie rozprasza się. Gdy spocznie na... jednym przedmiocie, nie wypuści go, ogarnie, zagarnie. Tylko człowiek głupi — jak ja — umie kochać. Nie zatruwa swoich uczuć ciągłą analizą. Kobiety lubią stroić się, w „kochaczy“ inteligentnych. Kochają tylko takich, jak ja!...

Henryk (uśmiechnął się smutnie): W tem jest wiele prawdy... Niestety! (Chwila milczenia).

Mery (do Henryka): Pan jest interesujący przez swój wieczny smutek. Oczy pana nigdy się nie śmieją, — nawet, gdy uśmiechają się usta. Lubię pana uśmiech. (*Zalotnie*): Pewno panu już nieraz to mówiono.

Henryk (j. w.): Tak, ale zwykle kobiety starsze i nieładne... Inne woła... (giest w stronę Ładysa) radość życia!...

Mery (z sztucznym ogniem): Pan to mówi? W takim razie, nie zna pan... nie rozumie pan kobiet. W nim (giest lekceważący w stronę Ładysa) może zakochać się kokota, podlotek, albo niezrozumiana bankierowa... Nawet... w gruncie rzeczy — dobry chłopiec... ile dobroci może pomieścić moral insanity i elegancki egoizm klubmena.

Ładys (śmieje się, również sztucznie): Proszę cię, nie żenuj się... (Słońce zachodzi, widnokrąg zapala się czerwienią).

Mery (do Ładysa j. w.): Znamy się od dziecka, prawda? (Do Henryka): On będzie mógł zawsze powiedzieć dokładnie, wiele mam lat... Bardzo niewygodny świadek...

Henryk: Dla kobiety miłość nie może być czemś męczącym jej inteligencję, czemś, co trzyma umysł w nieustannem napięciu. Kobieta w miłości szuka wypoczynku, — rozkosznego wytechnienia...

Mery: A mnie właśnie wydaje się, że miłość jest potrzebą walki i tryumfu (z wymówką): Pan także nigdy nie widział we mnie kobiety... z krwi i ciała!

Henryk (nieco poruszony): Ja? (sili się na uśmiech): Nie śmiałem zblizka spojrzeć na panią.

Mery (zalotna): Szkoda.

Ładys (kryje pod drwiną rozdrażnienie): Czy ja państwu nie przeszkadzam?

Mery (j. w.): Może.

Ładys: Jeśli sobie życzysz, mogę odejść. (Robi giest, jak gdyby chciał wstać z ławki).

Mery (niedbale): Zobaczymy się przy obiedzie.

Ładys (nagle odeszła go chęć wstania, — głębiej): Dziś... dziś nie powinnaś tak drażnić się ze mną.

Mery (wyzywająca): Dlaczego „dziś“?

Ładys: Wiesz dobrze.

Mery: Nie wiem. Nudzisz mię. (Do Henryka, jakby zapominając o obecności Ładysa): Czy pan mógłby się zakochać?

Henryk: Gdybym się zakochał, miłość moja byłaby smutna.

Mery: Pan nie sądzi chyba, żeby o miłości decydował humor... Idzie o to, aby wzruszyć, aby wywołać wzruszenie, które pokrywa zapomnieniem wszystko, co było, — stwarza nowe życie!...

Henryk (wpatrzony w nią): Pani jest cudownie piękna w tej chwili... na tle zachodzącego słońca... Wygląda pani, jak uosobienie pokusy. Pani może dać szczęście!

Mery: Ja nie chcę tylko dawać szczęście... Ja szukam szczęścia dla siebie... (*Sekunda*): A pańska pogarda dla kobiet i miłości?

Henryk: ...Naprawdę... w życiu są tylko dwie rzeczy, godne zastanowienia: miłość i śmierć!

Mery (zamyślona): Miłość... i śmierć. Miłość właśnie zagłusza lęk przed śmiercią. Czy pan wogóle zdolny jest kochać?

Henryk (poważnie): Dziś wydaje mi się, że tak.

Mery (zalatnie): Dziś?

Ładys (coraz silniej zdenerwowany, śmieje się nieszczerze. Do Henryka): Analizujesz tak mądrze, a wystarcza parę ciepłych spojrzeń, kilka obiecujących słów... Czyż nie widzisz, że ona się nami bawi?

Mery: Cheesz powiedzieć, że się ciągle Kocham w tobie?

Ładys (patrzy w jej oczy, poważnie): Tak. Zrzućmy na chwilę maski, — jak ludzie, którzy czują i cierpią. Czy sądzisz, że on (spojrzenie w stronę Henryka), nie wie? Ja sam, w chwili ostatecznego znużenia, zwierzałem mu się... Nie miałem zresztą czego ukrywać!

Mery (twardo): Szczerość za szczerość. (Do Henryka): Tak jest, kochałam się w nim. Złe wino zmienia się w ocet. Tak samo pewne uczucia... Może niesłusznie — wydaje mi się, że to z jego przyczyny moje życie poszło tak... jak poszło. Uczucie nie da się wyrozumować. Teraz — nienawidzę go. Gorzej — pogardzam nim.

Ładys (przyciszonym głosem): Byłabyś nawet gotowa zabić mię, by tylko usunąć tę przyczynę, przed którą mdleje twoja wola. Naprawdę! Kochasz mię!

Mery: Wiedziałam, że jesteś zarozumiała. Nie wiedziałam, że jesteś do tego stopnia... głupi. (Do *Henryka*): On nie zawahał się mówić przed panem... ja nie będę dyskretniejsza... (Serdecznie, prawie czule): Chciałabym, żeby pan nie był smutny... Chciałabym, żeby pan zdobył wiarę w życie, tę wiarę, jaką ja czuję w sobie, nieskrystalizowaną, — może błakającą się jeszcze... Poza wszelką refleksją, poza wszelkiem rozumowaniem, jest jakaś tajemnicza wola, zamknięta w ciemną przepaść... Pan mię rozumie? (Wskazuje na widnokrąg): Widzi pan, jak piękny jest ten zachód słońca? Czy rozum może wytłómaczyć dlaczego to jest tak piękne? A jednak piękne, prawda?

Ładys (patrzy na nią i śmieje się cicho, z rozmyślnem szyderstwem. Ona przerywa, przyciąga nagłym ruchem głowę *Henryka* i całuje go w usta).

Ładys (w pierwszej chwili jakby oczom nie wierzył, chwytając ją za ramię): *Mery!* (oderwał ją).

Henryk (wstał na wpół pijany pod wrażeniem pocałunku, lekko zachrypłym głosem, do *Ładysa*): Czego chcesz?

Ładys (stoi przed nią): Jesteś podła! podła!

Henryk (chwycił go za rękę): Dosyć! Milcz!

Ładys (ze złym ogniem w oczach, jakby się składał do skoku): Ty śmiesz...

(Nagle obaj nieruchomieją. Z lewej strony z zagajnika wychodzi *Burba*).

SCENA 10.

Ciż. — *Burba*.

Burba (stanął nieco w głębi, patrzy na nich podejrzliwie): Co się stało?

(W dali dzwonek).

Henryk (opanovał się): Nic... Dzwonią na obiad.

Mery (wskazuje na fuzję, która stoi przy ławce, do *Henryka*): Niech pan weźmie... (*Henryk* bierze sztucer). (Do *Burby*): Chodźmy!

(*Zastona spada*).

A K T III.

Modna miejscowość kąpielowa w północnej Francji, nad Kanalem. Scena przedstawia niewielką salę, przylegającą do głównej sali restauracyjnej Kasyna. Drzwi na prawo prowadzą do sal gry. Czyni przy nich straż urzędnik, sprawdzający legitymacje gości. Z drugiej strony tychże samych drzwi, stoi poważny dygnitarz w liberji, krótkich spodniach i pończochach, z grubym łańcuchem na szyi. Urzędnik nie od wszystkich wchodzących żąda legitymacji. Znajomych zaprasza uprzejmym giestem do wnijścia, bez pokazywania kart wstępu. Czasem, gdy pan urzędnik nie uważa, a ktoś z publiczności chce się wślizgnąć do sal gry, zatrzymuje intruza dygnitarz w liberji, uroczysty i nieublagany. Na lewo drzwi do sali restauracyjnej. Naprzeciw widowni, duże okna na morze, teraz szeroko rozwarte. Wzdłuż ścian szereg stolów, nakrytych obrusami, przy nich wygodne krzesła. W ścianach parę luster. Wieczór. Wszystkie lampy zapalone. Z sali restauracyjnej dochodzą dźwięki muzyki. Gdy zastona się podnosi, tylko w głębi, przy stolikach pod oknami, siedzi parę osób. Od czasu do czasu z sal gry do restauracji, lub odwrotnie przejdzie zaafetowany gość, lub jakaś para. W sali kręci się trochę osób, przeważnie znudzonych, — z pośród tych, co ani grają, ani piją, a przyszli do Kasyna dla zabicia czasu. Służba traktuje tę publiczność ze zdawkową grzecznością, graniczącą często z lekceważeniem. Mężczyźni we frakach, albo smokingach. Panie w wieczorowych toaletach, w kapeluszach. W dobrej komitywie ze służbą, jest średnich lat jegomość, o wybitnie semickich rysach twarzy, w smokingu cokolwiek podniszczonym. Maitre d'hotel porozumiewa się z nim często wzrokiem; czasem, gdy się mijają, zamienia parę krótkich słów, unikając jednak wyraźniejszego zbliżenia.

SCENA 1.

Mery. — Leokadja. — Burba. — Henryk. — Kolankiewicz. — Ładys. — Maitre d'hotel.

(Z lewej strony wchodzi Mery, Leokadja, za niemi Burba, Henryk i Kolankiewicz. Maitre d'hotel wskazuje im stół nakryty

do kawy, zastawiony likierami. Panowie zapalają cygara i papierosy. Panie również palą.¹

Kolankiewicz (młody człowiek, elegancki, przystojny, wesół i głupi): Trzeba przyznać, że obiad był doskonały. (Do *Burby*): Czy gdziekolwiek w Polsce zje pan tak dobrze? (Do *Leokadji*, głosem proroczym): Proszę pani, jeszcze wiele lat upłynie!...

(*Maitre d'hotel* nalewa kawę, *garson* likiery).

Leokadja (do *Kolankiewicza*): Czy będą dziś tańczyć?

Kolankiewicz: Oczywiście! Panie staną w drzwiach. (Wskazuje drzwi na lewo).

Burba (do *Henryka*): Mówią tylko o wojnie. (Wzruszył ramionami): Ja sam już zaczynam wierzyć.

Henryk: Ja nie mogę! W dwudziestym wieku? Ludzie mają się mordować, jak za czasów *Kserksesa*? lub *Dżingis-hana*?

Burba: Rozum mówi, że wojna jest niemożliwa. Dowiedzionem jest, że nie mogłaby trwać dłużej, jak trzy miesiące, bo obie strony byłyby już skończone.

Mery (puszcza dym z papierosa): Co wy wiecie?

Burba (zaperza się): To jest dowiedzione, moja droga!

Kolankiewicz: Dużo anglików dzisiaj wyjechało. A Niemcy znikli wszyscy.

Leokadja: Było ich niewielu.

Kolankiewicz: Owszem, proszę pani, byli... byli, nawet z najlepszego towarzystwa.

Mery (do *Henryka*): Myślałam, że *Kurak* przyjedzie po południu. Okręt do *Hawru* miał wejść z samego rana...

Henryk: Pewno się spóźnił. Ale jest pociąg wieczorny.

Mery: Na wszelki wypadek depešowałam mu, że wieczorem jesteśmy zawsze w *Kasynie*...

Henryk (do *Mery*): Pani dla tego *Kuraka* ma więcej czułości, niż dla nas wszystkich razem.

¹ Z sali gry wychodzi pan, średniego wzrostu, zaafierowany, wewnętrzna rozterką zalterowany. Zatrzymał się w głębi, pomaćał po kieszeni, siadł przy stoliku, wyjął pugilares, liczy nieobfite banknoty. Zbliżył się *garson*, pan każe sobie coś przynieść. Lecz, gdy *garson* chce odejść, ów pan zatrzymuje go, cofa dyspozycję i nagłą intuicją poruszony, — pomacawszy się instynktownym ruchem, raz jeszcze, po kieszeni, — szybko wraca do sal gry.

² Para małżeńska, lat nieokreślonych, on w marynarkowym ubraniu, ona w niezbyt wytwornym kostjum'e, tętnącym cokolwiek prowincją, zbliża się do drzwi, prowadzących do sal gry. Zatrzymuje ich urzędnik, domagając się legitymacji. Okazuje się, że przybysze nie posiadają kart wstępu, że nie wiedzieli nawet o takich utrudnieniach. Zmieszana i zawstydzona para cofa się. Mąż proponuje żonie, aby zasiąść przy stoliku. Ona rozejrzała się, zawahała, — po krótkich szepciach idą z powrotem na prawo.

Mery: To jedyny człowiek, wobec którego doznaję uczucia zupełnego bezpieczeństwa, zupełnej ufności. (Z uśmiechem): Was wszystkich szpeci wstrętna pożydlivość. Czyhacie na kwadrans słabości!

Henryk: Nawet ja?

Mery (życzliwie): Pan mniej od innych. Ale Kurak wcale. Przy nim czuję się prostsza i lepsza... przynajmniej zdolna do lepszych czynów.

Burba (dobrodusznie): Muszę powiedzieć otwarcie, że i mnie to sprowadzanie pana Kuraka tutaj, wydaje się pomysłem... co nieco kapryśnym.

Mery: Wy, ludzie zdrowego rozsądku, nie chcecie zrozumieć, że czasem robi się coś, musi się coś zrobić, choć się nie wie, dla czego. (Do Henryka): Te pańskie „pierwsze przyczyny“, nieuświadomiczne, nieujawnione, a jednak nieugięte...

Henryk: Instynkt?

Mery: Nie wiem...

Burba: Ja wolę to nazwać po prostu kaprysem... (całuje w rękę Mery, jak gdyby ją przeproszał): Pragnąłbym, żeby każdy twój kaprys mógł być ziszczony.

Leokadja: Skończyłam papierosa... teraz chcę wygrać sto ludwików.

Kolankiewicz (ugrzeczniiony): Tylko sto? (Do Mery): A pani?

Mery: Ja nie gram.

Burba (tonem perswazji): Jutro wyjeżdżamy... Dziś cały dzień byłaś w samochodzie... Trzeba wypocząć.

Mery: Wcale nie jestem zmęczona. Nic a nic.

Kolankiewicz (zachwycony): Pani lubi życie intensywne! Ja to rozumiem... Ja nie umiem być pół godziny sam. Zaraz śmiertelnie się nudzę.

Henryk: Pan niema złudzeń co do swojej osoby.

Kolankiewicz (wietrzy jakąś złośliwość, lekko ugrzeczniiony): Nie rozumiem...

Henryk: Pańska osoba jako towarzystwo, nie wystarcza panu?

Kolankiewicz (urazony): Być może, lecz nie lubię, żeby mi to mówił kto inny...

(*Henryk* skinął uprzejmie głową, na znak, że się z nim zgadza³).

³ Z sal gry wychodzi tęgi dżentelman w smokingu starannie wygolony i uczesany. Pewny siebie, technie zadowoleniem. Urzędnik przy drzwiach kłania mu się uprzejmie. Lokaj — uroczyście. Dżentelman siada przy stoliku w głębi sali, niedbale. Czuję się tu widocznie jak w domu. Podchodzi doń wnet ugrzeczniiony maitre d'hotel, pyta o roz-

Henryk (do *Mery*): Pan Kurak pisał do pani?

Mery: Nie. Tylko telegrafował.

Burba: Mimo wszystko... trzeba wracać do kraju...

(Przed chwilą wszedł z prawych drzwi na salę *Ładys*, objął wzrokiem stół, przy którym siedzi *Mery*, zawahał się).

Leokadja (postrzegła go, zdaleka): Jak poszło po obiedzie?

Burba (porywczo, — półgłosem): Niech pani go nie woła!

Ładys (podszedł parę kroków, skłonił się wszystkim z daleka, widocznie czekając na wyraźniejsze zaproszenie): Wygrywam... Czemu pani nie zrobiła dziś ze mną spółki?

Leokadja (wyjmuje z torebki banknoty, podaje mu): Niech pan zagra dla mnie, dobrze?

Ładys (zbliżył się, bierze pieniądze, — do *Mery*): Ty nie chcesz?

Mery (umyślnie rozmawia przez ten czas z *Henrykiem* i *Kolankiewiczem*, nie zwracając uwagi na *Ładysa*, — zimno): Dziękuję.

Ładys (znalazł się w nieprzyjemnej pozycji, bo z całego towarzystwa jedynie *Leokadja* — i poniekąd *Kolankiewicz* — ujawniają chęć rozmowy z nim. A i *Leokadja* onieśmielona jest zachowaniem się *Burby*). (Do *Leokadji*): Pani nie przyjdzie do sal gry?

Leokadja (sympatyczne spojrzenie): Tylko skończymy kawę⁴.

(*Ładys* zmarszczył brwi, widząc, że nikt nie ma zamiaru pro-

kazy, prowadzi z dobrym klientem przypochlebną rozmowę. Z sal gry wybiegają dwie kokotki, nienadto młode, rozglądają się szukającym wzrokiem po sali. Ujrzały dżentelmana, zbliżają się do stolika, maitre d'hotel jest z nimi w poufalej, choć nieco protekcyjnalnej przyjaźni. Garson przynosi butelkę szampana, dżentelman każe przynieść jeszcze dwie szklanki, panie siadają, maitre d'hotel skłonił się z uprzejmą godnością i odchodzi. Panie atakują żywo dżentelmana, który odnosi się do nich ze swobodną nonszalancją. W pewnym momencie wyjmie z kieszeni zwój pomiętych banknotów, da po jednym każdej kokocie. One schowają papierki szybko i dyskretnie do torebek. Potem już rozmowa mniej ożywiona, a gdy panie opróżnią szklanki, wstaną i pożegnawszy się wdzięcznie, wrócą do sal gry. Po drodze zacepią semitę, zrobią mu jakąś propozycję, której on nie przyjmie. Kokotki śmieją się rozpustnie. semita, nieco skwaszony, patrzy za nimi pożądliwym wzrokiem. Dżentelman odwrócił się do okien, popija i duma. Potem przejdzie do restauracji, zostanie tam przez dłuższy czas i znów wróciwszy do stolika, każe sobie przynieść świeżą butelkę szampana.

⁴Przez scenę przechodzi do restauracji, po jakimś czasie wraca do sal gry, trzydziesto-paroletnia brunetka, ubrana z mężka, w kapeluszu prawie męzkim, papieros w ustach. Towarzyszy jej eteryczna blondynka, bardzo pięknie wystrojona. Rozmawiają mało. Brunetka pewna siebie, blondynka zahukana. Jak gdyby stale zalekniona.

się go, aby usiadł, skłonił się już bardzo lekko i wychodzi na prawo).

Leokadja (do *Mery*): Nie chciałaś, aby usiadł z nami?

Mery (obojętnie): Przyznam ci się, nie uważałam...

Kolankiewicz (do *Leokadji* i *Mery*, o *Ladysie*): Gra jak warjata i ma szczęście warjata. Przez te trzy dni, odkąd przyjechał, wygrał podobno parę set tysięcy².

Leokadja: W hotelu mówiono mi, że pół miliona... (Do *Burby*, nagle gorączką gry ogarnięta): Gdyby pan był dobry, poszedłby pan ze mną... (wzrokiem wskazuje drzwi na prawo).

Burba (bez entuzjazmu, wstał): Służę pani... (stojąc, wypił resztę z kieliszka).

Kolankiewicz (do *Leokadji*): Pani pozwoli sobie towarzyszyć?

(*Leokadja*, *Burba* i *Kolankiewicz*, wychodzą na prawo).

SCENA 2.

Mery. — *Henryk*.

Henryk (półgłosem): Pani wyjeżdża jutro?

Mery (zamyślona): Zdaje się.

Henryk (j. w.): A ja?

Mery: Pan pewno też pojedzie.

Henryk (patrzy jej w oczy): I co będzie dalej?

Mery (unika jego wzroku): Nie wiem.

Henryk: Pani pojedzie do Warszawy, ja do siebie... Spotkamy się czasem na wsi, czasem w mieście... Pani droga! (szuka trwożnie jej oczu) czy to być może? Pani wie, co ja sądzę o życiu, jak życie było mi nieznośne i dręczące. Dźwigałem je z bólem i trudem. I nagle, jak ów grek, po długim błakaniu się w skwarnej pustyni, dojrzałem brzeg morski i białe żagle. Teraz, gdy słyszę muzykę, która mię bierze, myślę o pani. Piękny kwiat, rozszalałe morze, książka, która porywa, lub zadziwia, — każde wzruszenie, przywodzi myśl o pani, — neodpartą potrzebę podzielenia się nim z panią. Skoro tylko dusza daje znak życia, myślę o pani. Pół roku temu, sądziłem, że będę zawsze potrafił uniezależnić się od uczuć, które igraszkę sobie czynią z ludzi. Znałem panią niemal od dziecka. Dlaczego urok, czar pani, dawniej nie działał? Czasem myślę, że to ów pocałunek... który był przecie tylko gościem wobec Siewierskiego?... Wyrwał mię

² Stary pan we fraku, krótka broda i włosy jak śnieg białe, widocznie niedomagający na pęcherz, wybiega szybko z sal gry. Za chwilę wraca, z widoczną ulgą, ale również z pośpiechem i znika w drzwiach szulerni.

z samotni, w której był chłód i cisza... wywołał mękę, która pali nieugaszonym ogniem.

Mery: Pamięta pan ów wieczór, — kiedy mój mąż się oświadczył?... Czemu pan wtedy tego nie zrobił?

Henryk (ze spuszczoną głową): Pani wówczas?...

Mery (przerywa z goryczą): Tak... lecz pan nie chciał wchodzić w drogę przyjacielowi. Czy Siewierski jeszcze dziś jest takim pana przyjacielem?

Henryk: Gdybym był pewny, że potrafię nienawidzić, to właśnie jedyny człowiek... (urwał)

Mery: Wówczas jednak tak lekko zrezygnował pan... dla przyjaciela! (Zmiana tonu): Czemu pan nie umie dokonać, aby ten ogień mnie sięgnął? Jestem jak suchy krzak... Ja pokochałabym apasza, gdyby mi wrócił spokój... Podeptałabym wszystkie zasady... Pan sądzi, że mnie życie nie nuży? Tylko zamęt, zmęczenie... i tyle brudów! Moja babka uczyła mię, jak pielęgnować paznogie, jak dbać o dessous... a dusza rosła dziko... Zazdroszczę kokotom, które mogą brać i dawać rozkosz każdej chwili — i nie mają duszy... Gdybym mogła narodzić się raz jeszcze — inną, zupełnie inną! Ja sama czuję, że nie zawsze jestem świadoma swojej woli... Pan ma żal do mnie? O co? Czy ja nie chciałam? Pamięta pan, kiedy przyszłam do pana...

Henryk (pizysłania oczy dłonią): Niech pani nie przypomina...

Mery: Czy ja... nie chciałam?

Henryk: Nie zapomnę nigdy... tej chwili, kiedy nagle, niespodziewanie, zsunęłaś suknię, wszystko... Stanęłaś jak posąg, nieskazitelnie biała... jak marmur zimna i wzdgardliwa!...

Mery: Pytałam się: Chcesz mię?

Henryk: Oddawałaś mi chłodny marmur... dusza była gdzieś indziej. Rozumiałem, że w tym gieście nie było ani miłości... ani nawet litości, tylko rozpaczliwe postanowienie. Ja chciałem i chcę mieć cię całą, duszą i ciałem... Bez podziału z kimkolwiek... (ciszej) nawet myślą (pauza): Przyznaję, potem... żałowałem... Stała się pani dla mnie trucizną... w cudnie rzuconym kryształem... Pożądanie zmysłów... czy najwznieślijsze pragnienie umysłu, serca, — wszystko ma jedno źródło... Ładys ma słuszność: Cnota i występki mają jeden zamiar na celu — zadowolenie... Okłamujemy się stale... a najwięcej samych siebie. Ale wówczas... kiedy w milczeniu narzuciłem ci płaszcz na nagie ramiona i wyszedłem z pokoju... nie mogłem... nie umiałem inaczej. Potem... potem... gdy tysiąc razy przeżywałem tę scenę w myśli, wciąż kasało mię uporeczywe pytanie: — Co byłabyś uczyniła, gdybym... gdybym był próbował usłuchać cię, — co?

Mery: Nie wiem.

Henryk (ponuro): Ja wiem. (Pauza): Pani zawsze i tylko jego kochała.

Mery: Nieprawda! Nigdy nim bardziej nie gardziłam.

Henryk: Pani jego jednego zawsze kocha.

(W drzwiach z prawej strony *Ładys*, zbliża się do nich niewidziany).

SCENA 3.

Ciz. — *Ładys*.

Ładys: Można usiąść na chwilę? (*Mery* i *Henryk* poruszyli się, zdumieni dźwiękiem jego głosu. *Ładys* waha się przez chwilę, wreszcie, gdy *Mery* ledwie dostrzegalnie skinęła głową, siada): Przy stołach robi się luźno. Wojna w powietrzu! Wszyscy uciekają... (Z udaną obojętnością, do *Mery*): Podobno i ty wyjeżdżasz?

Mery: Tak.

Ładys: Jutro? (*Mery* skinęła głową): Mnie wszystko jedno. Tu, czy tam!... (śmieje się, spojrzeniem, wskazując drzwi do sal gry): Dziś boją się mnie nawet przy wielkim stole. Jakiś instynkt jasnowidzący... który kieruje słowami, zanim myśl skontroluje ich sens. Ciągnę pięć abataży, oddaję karty. I zupełnie, jak gdyby kto inny za mnie powiedział: banko. Odwracam się, wszyscy patrzą na mnie... krupier mnie przysuwa banknoty. Więc to ja jednak musiałem powiedzieć... Zabawne. (Do *Mery*): Jutro?

Mery: Tak.

Ładys (podniecony): Mnie wszystko jedno! Wracać? Ja nawet nie zdaję sobie sprawy, co to jest wojna. Ty mówiłaś: — lecieć szarżą na czele pułku, wiatr śmiga w oczy, w twarz bije piasek, świszczą kule... Ha! taka wojna! Życie wydawało mi się zawsze nadto rozwodnione. Całe życie nie warto jest jednej godziny szczęścia, — ale takiej godziny, w której mieści się szczęście całego życia! Nie lubię whisky z wodą sodową. Jeśli pić, to czyste — szklankami... Upić się raz, ...ale tak, do dna duszy... A potem, niech trawa nie rośnie! (Do *Mery*): Nie napiłabyś się białego?

Mery (twardo): Nie.

(*Ładys* po chwili wahania, nalewa sobie duży kieliszek koniaku, wychyla go jednym haustem).

(W oknach, gdzieś na morzu, błysnęła jasna smuga światła parę razy):

Ładys (wstrząsnął się): Co to jest?

Henryk (zamyślony, ponury): Sygnały okrętów wojennych... (Idzie ku oknom): Zaczyna się poważnie.

(Stanął w oknie i patrzy w stronę morza. Parę osób, siedzących w głębi, również podeszło do okien).

Ładys (ciszej): Mery!

Mery (j. w.): Co?

Ładys: Nie wiem, co będzie jutro. Ja dziś... dziś jeszcze muszę z tobą pomówić! Od tygodni gonię za tobą po świecie.

Mery (obojętnie): Mów.

(Obce osoby w głębi wychodzą na lewo. Henryk zostaje sam przy oknie, po chwili odwraca się i ze skrzyżowanymi ramionami przygląda się Mery i Ładysowi).

Ładys (spojrzał nieufnie w stronę Henryka, odwrócił się z krzesłem i mówi dalej przyciszonym głosem): Nie tutaj, nie... Ładys moment ktoś przyjdzie... On (giest w stronę Henryka) nie słyszy, ale widzi każde moje słowo... Pomyśl... ile tygodni upłynęło od owego polowania? Dwanaście? Trzydzieści? Tyle długich dni i jeszcze dłuższych nocy! Wszystkie myśli przy tobie, a ty, byłaś daleko... Raz... pamiętasz, na wyścigach... Gdy cię zobaczyłem, wszystka krew zbiegła mi do serca. Bałem się, że upadnę... Chciałem zbliżyć się, nasycić oczy twoim obrazem, usłyszeć dźwięk twego głosu, chwycić nozdrzami twoje perfumy... Ledwo skinęłaś mi głową i przeszłaś, a spojrzenie twoje było nieprzejrzyste, twarde i ciężkie jak kamień. Wpiłem się zębami we własną rękę... patrz, (pokazuje jej dłoń): jeszcze ślad został po tylu dniach... aby nie krzyzczeć... żeby ból zagłuszyć. Mery! Jakim szalem Bóg mię ukarał!

Mery (nieuważnie): Potrafiłeś mimo to doskonale się bawić.

Ładys (spojrzał na nią, w oczach błysk nadziei): Wiedziałaś o tem?

Mery (postrzegła się — szydzi): Twój szal czynił sobie częste i przyjemne ulgi. Twój szal, mój drogi, jest zwyczajną rozpusztą. Nie trzeba nadużywać zbyt wielkich słów na małe rzeczy.

Ładys: Wiem dobrze... nie nie jestem wart. Przy tobie stałbym się inny. We mnie są wszystkie możliwości, dobre i złe. Cierpienie dobywa tylko złe... (nagle): Byłaś zazdrosna?... (Nie może utaić radości): Byłaś zazdrosna!

Mery (już się opanowała, pogardliwie): Ja? Trzymasz o sobie zbyt wiele... Powinieneś się czuć szczęśliwym. Pewne doświadczenia brudzą, a człowiek brudny budzi odrazę. Skończmy... Mówisz, że cierpisz... Cierpienie jest jak ogień. Oczyszcza. Z kruchego i rdzewiejącego żelaza tworzy stal. Twoje cierpienie jest złością niezaspokojonego kaprysu. Jeszcze jedno kłamstwo!...

Ładys: Odrącasz mię, jak natrętnego psa... Jednego dobrego słowa!... I jutro... (ciszej): Ja jestem u schyłku sił. Jestem gotów ważyć się na wszystko, nawet na zbrodnię... (Rozpaczliwie

potrzęsa kieszenią fraka): Wygrałem masę pieniędzy... Majątek! Możemy jechać, gdzie chcemy... gdzie wieczna wiosna i wieczny pokój... Mery... daj mi tylko godzinę... pół godziny... bym mógł powiedzieć wszystko...

Mery (śmieje się szyderczo): Istotnie... ten szal uderza ci... do głowy. (Giest): Z tobą? W świat daleki? Mój drogi, nie jestem pewna, czy wiesz, ilu dotąd miałam kochanków. Wierzaj mi, każdy miałby pierwszeństwo przed tobą.

Ladys (zdławionym głosem): Chwalisz się!

Mery: Jeśli ci to sprawia przyjemność... Raczej z panem Kolaniewiczem, niż z tobą... (Głośno do Henryka): Panie Henryku!

Henryk (postępuje ku nim z głębi): Słucham...

Mery (wstaje): Chce pan zaprowadzić mię do sal gry?

Ladys (w rozpaczliwym zapomnieniu, zastępuje jej drogę): Czekaaj!

Mery (wyniośle): Co to ma znaczyć?

(Cała rozmowa, która następuje, prowadzona jest na prodzie sceny, półgłosem):

Ladys (stłumionym głosem): Czy to on (wskazał ręką Henryka) jest tym, co cię wstrzymuje? (Do Henryka, który się przybliżył): Jesteś jej kochankiem? Powiedz otwarcie. Byliśmy przyjaciółmi, nie mieliśmy tajemnic. Zachowajmy przynajmniej dawną szczerłość.

Henryk (do Mery, wyniośle): Czego on chce?

Mery (tak samo): Nie wiem. (Do Ladysa): Tobie nie do tego.

Ladys (do Henryka): Odsunąłeś się odemnie. Unikasz mię. Ona potargała naszą przyjaźń. Wszystko jedno. Przyjaciel, który zawiódł, staje się najgorszym wrogiem.

Henryk (ze spokojną dumą): W czymże ja cię zawiódłem?

Ladys: Jeżeli jesteś jej kochankiem, dla nas dwóch ziemia jest za mała.

Mery (bierze ramię Henryka i opiera się na niem): Szukaj sobie zatem innej planety, mój drogi. (Do Henryka): Chodźmy.

Ladys (zastępuje im drogę, z rosnącym uniesieniem): Nie! Ja nie należę do tych, co ustępują!

Henryk (j. w.): Czy sądzisz, że będę się odwoływał do twego przyzwolenia? Proszę cię, to nie jest miejsce do tego rodzaju rozmów.

Ladys: Chcesz mi ją zabrać! Korzystałeś podstępnie z moich zwierzeń. Donosiłeś jej o każdym moim głupstwie, o każdym szaleństwie, choć znałeś ich pierwszą przyczynę. Powoli, jak truciznę, sączyłeś do mnie niechęć, gniew, wstręt. Czy wiesz, jak to się nazywa?

Henryk (uwolnił się od ramienia Mery): Szukasz zwady? Ta-

kiej, któraby doprowadziła do pojedynku? Chciałbyś mię zabić w sposób dozwolony i nicodpowiedzialny? Pomysł cokolwiek naiwny. Nie, to ci się nie uda. Wiesz, że tchórzem nie jestem. Ale pojedynkować się z tobą (odcień lekkiej pogardy) nie myślę.

Ładys (wyzywający): Boisz się!

Henryk: Nie. Zabijać kogoś... choćby nawet ciebie... na zimno, z premedytacją... nie podoba mi się. Zaś jeślibym szukał śmierci, nie dam się nikomu wyręczyć. Będę umiał sam ją znaleźć. (Prawie szeptem): Lecz jeśli będziesz stawał na mej drodze, zabiję cię, bez pojedynku, jak psa!

(*Ładys* nagle podnosi rękę, chcąc uderzyć w twarz *Henryka*. Ten błyskawicznym ruchem wyjmując z tylnych kieszeni spodni rewolwer):

Mery (chwyta go za ramię): Nie!

(Chwila ciszy. Obok w sali muzyka zaczyna grać różnego two-step'a, *Ładys* odstępując parę kroków, wpatrzony w *Mery*. Z prawej strony wychodzą *Burba* i *Kolankiewicz*).

SCENA 4.

Ciż. — *Burba*. — *Kolankiewicz*.

Kolankiewicz (wesoły): Niech pani spieszy na ratunek... Jeśli pani *Leokadja* nie wstanie od stołu, przegra cały majątek, — przynajmniej to, co ma przy sobie... i na sobie. (Do *Ładysa*, który stoi opodal, nie łącząc się bezpośrednio z towarzystwem): Ależ gra! Jak cztery stołowe nogi! To, co pan jej zarobił, poszło w pięć minut.

Burba (podejrzliwy, do *Mery*, półgłosem): Co ci jest?

Mery: Nie. (Do *Kolankiewicza*): Zaprowadzi mię pan? (Giest w stronę drzwi na prawo): Pan *Henryk* nie ma ochoty.

Henryk (bez zapału): Przeciwnie... Służę pani...

Mery: Niech pan zostanie... Sprowadzę *Leokadję* i napijemy się wina. Ostatni wieczór! Kto odgadnie, co będzie jutro! (Za oknami nowo sygnały świetlne): Jutro jest tak niepewne, jak te błyski światła... Dziś — należy jeszcze do starego świata. Jutro może rozpocznie się życie nowe... inne! (wstrząsnęła się).

Burba: Zimno ci?

Mery: Nie. (Podaje ramię *Kolankiewiczowi*).

Burba: Czy nie lepiej byłoby wrócić do hotelu?

Mery (zatrzymuje się): Która godzina?

Burba (spojrzał na zegarek): Jedenasta.

Mery: Wcześniej. Ekspres z *Hawru* właśnie nadchodzi. Nie... nie... dziś jeszcze do nas należy!

(*Kolankiewicz* i *Mery* wychodzą na prawo, ona jakby zapom-

niała o obecności Ładysa. Przez scenę znów przebiega z pośpiechem stary pan z białą brodą i po chwili wraca do sal gry. *Burba* siada zamyślony, *Henryk* po chwili zajmuje przy nim miejsce, obaj nie zwracają wcale uwagi na *Ładysa*. Ten waha się przez chwilę, a potem, nagle decyduje się, idzie do innego stołu, siada, daje znak ręką — podchodzi doń *maitre d'hotel*, on wydaje mu po cichu jakieś zlecenia, które tamten przyjmuje ze zdecydowanym szacunkiem).

SCENA 5.

Henryk. — *Burba.* — Przy drugim stole: *Ładys.* — *Rico.*

Burba (po dłuższej chwili, zdjęty nieświadomą życzliwością dla *Henryka*): Pan dzisiaj bardzo przygnębiony... Cóż u kata? Nie trzeba się poddawać!

Henryk (ocknął się): Co pan mówi? (Z bladym uśmiechem): Ach, tak... nie trzeba się poddawać... komu, proszę pana?

Burba (nieco zaskoczony): No... chwilowym nastrojom... wypadkom... losowi...

Henryk (j. w.): Nie poddawać się losowi?... Los mnie w pysk, a ja na to: nie poddaję się. Los drugi, trzeci raz w pysk, — a ja nie poddaję się. I tak trwa rozmowa bez końca. To się nazywa mieć odwagę życia. (*Zapala papierosa*): Kochany, panie *Burba*! Wyznam panu szczerze: ta komedia już mię znużyła. I wie pan, nad czem myślałem? Że gdy w teatrze nudzi mię przedstawienie, nie czekam, aż maszynista spuści zasłonę, lecz wychodzę. Sąsiedzi sarkają, narzekają,—moje przedwczesne, cokolwiek gwałtowne wyjście, zakłóca na chwilę ich spokój, wydaje się objawem złego wychowania... Ale ja dosięgam ciemnych korytarzy, opuszczam głupią komedię — i przestaję się dręczyć. Trzeba umieć, trzeba mieć śmiałość — wyjść, kiedy się chce...

Burba (z niedowierzaniem): Samobójstwo?

(*Ładysowi* kelner przynosi butelkę szampańskiego wina i szklanekę).

Henryk (sięgnął do tylnych kieszeni spodni, wyjął rewolwer, głaszcze go pieścizotliwym ruchem): Oto klucz, który otwiera każdej chwili zamknięte drzwi naszego teatru. Jedno naciśnięcie klamki...

Burba: Nie można gwałcić praw, które są ponad nami. Każdy człowiek, żyjąc, wypełnia zadanie... jakie mu wyznaczyła wyższa wola.

Henryk: Czy ja, drogi panie, prosiłem tę wyższą wolę, aby mię powoływała do życia? Ja nie poczuwam się do żadnej odpowiedzialności. Nasza wiara jest objawem tchórzostwa, niczem

więcej. Lęk przed nieznanem, lęk przed cierpieniem, lęk przed śmiercią... Używamy wiary, jak się używa choloroformu, lub eteru. Szukamy narkozy, jak pijak, który wie, co warte jest podniecenie trunkiem, ale mimo to, bez trunku żyć nie potrafi, — jak palacz opjum, który bez swoich sztucznych złud męczy się i cierpi. Ludzkość cała żyje kłamstwem, a już my, Polacy, załgałiśmy się beznadziejnie... Cierpiętnicy za całą ludzkość, „Chrystus narodów“! Panie Burba, jak my z tego wszystkiego wybrniemy? Zresztą głupstwo. (Zmienia ton, z pogodnem szyderstwem): Wszystko będzie dobrze. Wypijemy jeszcze butelkę, pójdziemy spać, a jutro obudzi nas szum morza... Kogo nie obudzi, ten będzie spał spokojnie.

Burba (objął go głębszem spojrzeniem): Pan nie myśli przecież na serjo...

Henryk (kładzie mu rękę na ramieniu, prawie pogodnie): Nie, nie myślę... Niech pan się nie trwoży... (*Zamilkli, odwracają się w stronę Ładysa, do którego zbliżyli się maitre d'hotel i cygan, w czerwonej kurtce, ze skrzypcami w rękach. Maitre d'hotel nachylił się z oblesnym szacunkiem i szepnął coś Ładysowi, potem odsunął się* °).

Ładys (do cygana): Pan mówi podobno po polsku?

Rico (akcent żydowski): Owszem, panie hrabio. Ja rodziłem się w Kamieńcu, (usprawiedliwia się), ale potem mieszkałem w Kiszyniowie.

⁷ Jegomość o semickich rysach twarzy, który od pewnego czasu znów kręci się po scenie, usiadł przy stoliku w głębi. Podszedł garson, pytając, czy nie życzy sobie jakiej konsumacji. — Nie. Garson z drwiącym uśmiechem odchodzi. Maitre d'hotel przeszedł kolo oszczędnego gościa, zamienił z nim porozumiewawcze spojrzenie. — Dobrze idzie? — Niczego. Z sali wybiegł zaferowany młodzieniec, widocznie zgrał się do nitki. Zaczepia maitre d'hotel'a, nerwowo próbuje go wybadać, czyby nie mógł pożyczyć pieniędzy. Maitre d'hotel wzrusza obojętnie ramionami, odpowiada przecząco, — potem wszakże, jakby tknięty współczuciem, wskazuje semicie. Młodzieniec zbliża się do semity, zaczyna się między nimi cicha rozmowa. Semita jest niechętny, niezbyt grzeczny. Dopiero po dłuższej chwili prosi młodzieńca siedzieć. Słucha jego opowieści z oczyma, zapatrzonemi w sufit, jak gdyby go to nie nie obchodziło. Młodzieniec pokazuje mu pierścionek na palcu. Semita spojrział, przeniósł badawcze spojrzenie na młodzieńca, potem, jak gdyby mu łaskę czynił, każe zdjąć pierścionek. Odwrócił się od publiczności, wstał, ogląda pierścień pod światło, wyjął z kieszeni nożyk, skrobie kamień. Młodzieniec śledzi niespokojnie te zabiegi. Wreszcie semita oddaje pierścionek, wymawia sumę. Musi być mała, bo młodzieńcowi przeciągnęła się twarz. Żąda więcej. Targ. Semita nieustępliwy. Coś wreszcie postąpił. Młodzieniec zgodził się. Semita niedbałym ruchem wpuścił pierścionek do kieszeni od kamizelki, wyjął pugilares, odliczył banknoty. Młodzieniec spieszenie wraca do sal gry, jakby w strachu, by mu zielony stół nie uciekł.

Ładys: Jak się pan nazywa?

Rico: Rico... (tajemniczo) naprawdę to ja się nazywam Pomeranc.

Ładys (z dezynwolturą wielkiego pana, którego te zwierzenia nie nie obchodzą): Więc, mój panie Rico... czy Pomeranc, przyprowadź pan tutaj swoich muzykantów (wskazał na salę) i zagrajcie mi coś smutnego...

Rico: Pan Gerant każe grać w wielkiej sali...

Ładys: Powiedz mu pan, że ja prosiłem... Tam zresztą jest pusto....

Rico (z poufałą tajemniczością): Czy to prawda, panie hrabio, z przeproszeniem, — wojna?...

Ładys: Podobno... Może dziś gracie ostatni raz... (wyjmuje parę banknotów i daje): Masz pan... (*Rico* bierze z ukłonem): Masz pan jeszcze (dodaje). I każcie dać sobie wina.

Rico (z oblesnym uśmiechem): Szampańskie?

Ładys (niedbale): Dobrze... Ale zagraj pan tak... żeby po kiskach poszło.

Rico: Pan hrabia będzie kontent... (Wskazuje na drzwi na lewo). Ja ich postawię zaraz przy drzwiach. Będą i tu i tam... (Idzie szybko na lewo, za kilka chwil wróci, stanie w drzwiach i pocznie dyrygować niewidzialną orkiestrą cygańską. W pewnych momentach cyganie podśpiewują).

Burba (do Henryka): Pan nie chce powiedzieć?

Henryk: Nie mam nic do powiedzenia, drogi panie, To wszystko... to tylko dalsze ogniwa jednego łańcucha... im dalsze, tem silniej wpijają się w duszę... Ba... nie nie poradzi.

Burba (z utajonem westchnieniem): Pan jest młody!...

Henryk: Nie jestem wcale młody, panie Burba. Mam tylko niezbyt wysoką liczbę lat. Ale urodziłem się stary... i zmęczony. (Lekko wzruszony): Niech mi pan da rękę... (ściska jego dłoń): Pan także... czuje się niezbyt...

Burba: Ja? (zaniepokojony): Co pan chciał powiedzieć?

Henryk: Nie mogę wdzierać się do pańskich myśli i uczuć.

Burba (Zmiana tonu): Był czas, że miałem do pana uprzedzenia. Teraz stał mi się pan blizki. Zdaje mi się czasem, że pan cierpi tak samo jak ja...

Henryk (zainteresowany): Pan także?

Burba (jakby zawstydzony): Ja.. także... Lecz obaj.. musimy tać nasze bóle. Przytem... auto-djagnoza jest rzeczą najtrudniejszą. (Z sztucznym uśmiechem): Łatwiej dostrzec źdźbło w oku bliźniego, niż belkę we własnym.

Henryk (zamilkł, jak gdyby zreflektował się, że lepiej nie

mówić tego, co zamierzał i po chwili): My wogóle... zbyt rzadko wglądamy w nasze dusze...

(Orkiestra gra tęskne pieśni cygańskie, Rico nie przestając grać na skrzypcach, zbliża się wolnym krokiem do Ładysa, staje przy jego krześle, skrzypce układa nieomal nad jego uchem, przechyla się i wyciąga żalosalne nuty, z odpowiednią mimiką).

SCENA 6.

Ciz. — Mery. — Leokadja. — Kolankiewicz.

(W sali nieco większy ruch, panie i panowie przechodzą z prawej strony do lewej, przy stolikach zasiada kilka grup. *Mery* i *Leokadja* wychodzą, — wraz z *Kolankiewiczem*, z prawych drzwi i siadają przy Henryku i Burbie.

Burba (wstał na powitanie, tak samo Henryk — do *Mery*): Pójdziemy?

Mery (objęła krótkim spojrzeniem Ładysa): Za chwilę. Pić mi się chce⁷.

Kolankiewicz (usłużny): Każę dać wina... (Biegnie do drzwi na lewo, tam wydaje dyspozycje garsonowi)⁸.

⁷ Wychodzą z sal gry dwaj lordowie angielscy, poprawni, chłodni, we frakach, cygara w ustach. Siadają w głębi. Każą sobie przynieść whisky and soda. Opodal nich siada dama z mężka ubrana, wraz z towarzyszącą jej stale blondyneczką. Piją jakieś likiery. Gdy się rozpoczyna tańce, blondynka odmówi wszelkim zaproszeniom ze strony panów i tańczyć będzie tylko ze swą opiekunką.

⁸ Wychodzi z sal gry para małżeńska. On milczący, ponury. Ona zła, rozgadana, Widocznie wyrzuca mu, że nie umie grać, że grał jak noga. Gdyby był jej słuchał i wtedy, kiedy na niego przyszła kolej dawać karty, wystawił większą sumę, a po trzech kartach — oddał talję! Ale on wychodzi z malej sumy, a potem daje wszystko bić! To jest głupie, tak nie można grać! On odpowiada, że nigdy nie wygra, gdy ona przy nim stoi. Zawsze mi przynosisz pecha! Nigdy przy tobie grać nie będę... Skończywszy wreszcie tę wymianę zdań, siadają przy stoliku. Garson staje przy nich — sceptyczny, oni każą przynieść syfon wody sodowej. Garson odchodzi — godny i lekceważący. Pan wyjmuje pugilares i zaczyna w nim przewracać, daremnie szukając banknotów. Jest coraz bardziej pośepny i małomówny. Dama trąkocze bez przerwy, z bardzo ożywioną giestykulacją. On jej rzuca nieprzyzwojne słowa: — Cielę! Głupia! Ona wściekła, odpowiada żywo, woła garsona, płaci sama za syfon, wyjmując z torebki jakiś z trudem odszukany banknotcik, podnosi się, — on wszakże, nie rusza się z miejsca: — Cheesz iść, to idź, ja zostaję! Więc i ona po chwili wahania zostaje i oboje siedzą w dartego orła, nic do siebie nie mówiąc.

Wychodzi z sal gry młody człowiek, rozradowany, uśmiechnięty, zbliża się do nich uprzejmie; rozpoczyna rozmowę. Pan mąż odpowiada półsłówkami, niechętnie, pani jest kontenta, przymilna, zaprasza do stolika. Młodzieniec daje znak maitre d'hotelowi, który podchodzi

Leokadja (zdaleka do Ładysa): Wszystko poszło! (Giestem pokazuje, że się zgrała. — Do Mery): Nie poprosisz go?

Mery (twardo): Nie.

Burba (patrzy na ruch wychodzących z prawych drzwi): Dużo osób wychodzi.

Leokadja: Wogóle nastrój taki nieprzyjemny! Ciągłe wojna i wojna!...

Kolankiewicz (wraca): Zaraz będzie...

SCENA 7.

Ciż. — *Nuna*. — *Tosia*.

(*Nuna* i *Tosia*, dwie młode damy, wystrojone, silnie wydekoltowane, w kapeluszach, zbliżają się do stolika Ładysa):

Nuna (do Ładysa, korzystając z chwilowej przerwy w muzyce): Można się przysiąść?

Ładys (z niedbałą uprzejmością, — spojrzawszy w stronę Mery): Przepraszam... Oczekuję kogoś...

Tosia: Pić mi się chce...⁹

Ładys (wskazuje następny stolik w głębi): Siadźcie tam... każę wam dać wina... (Skinął na garsona, który podbiega i wydaje mu dyspozycje).

(*Maitre d'hotel* i inny *garson* niosą wino na stół Burby).

cokolwiek protekcyjnalnie, przyjmuje w tymże tonie obstalunek na szampana, — i oddaje zlecenie garsonowi. Młodzieniec chwali się, że wygrał, uważa się za bardzo przebiegłego i mądrego gracza. Oczy świecą mu radością. Proponuje mężowi, żeby spróbował odegrać się. Ten odpowiada, że niema pieniędzy. Młodzieniec wyjmuje pugilares; — Ile pan chce? Mąż waha się. Młodzieniec nalega. Pani zachęca męża. On wreszcie decyduje się, bierze parę banknotów, lecz zastrzega, że pójdzie sam. — My tu zaczekamy, odpowiada młodzieniec, ja będę pani towarzyszył. Garson przyniósł szampana. Mąż wypił szklaneczkę na kuraż, — i idzie. Młodzieniec zaraz zbliża się z krzesłem do pani, zaczyna jej coś tłumaczyć. Ona uderza go figlarnie wachlarzem po łapach. Widocznie broni się, — on nalega. Niechybnie chodzi o rendez-vous. Ona odmawia — odmawia... lecz słabnie i wreszcie obejrzawszy się, przyłoży palec do uszerwionych warg i skinie głową potakująco.

Z sal gry wychodzą dwie inne panie, starsza i młodsza, zbliżają się do stolika, — powitania, damy siadają, każą sobie przynieść herbaty. Po jakimś czasie wróci mąż, jeszcze bardziej ponury, giestem pokazuje, że przegrał wszystko. Psiakrew! Młodzieniec go pocieszał. Potem młodzieniec będzie tańczył z panią.

⁹ Przez scenę znów przebiega stary pan z białą jak śnieg brodą. Z semitą jakiegoś tajemniczego targu dobija starsza, umalowana dama, która wyszła z sal gry. Broszka brylantowa, wpięta w stanik damy, wędruje do kamizelki lichwiarza. Umalowana dama prędko wraca do sal gry.

Nuna (do Ładysa): Czy to prawda, że pan wygrał pół miliona?

Ładys (śmieje się): Nie wiem... jeszcze nie przeliczyłem.

Tosia: Tego nie rozumiem. Ja przy grze ciągle liczę!

Ładys (siedzi dalej niedbale, nie zważając, że one stoją): Są różne systemy, moja droga.

Tosia: Myśmy stały za panem... My zawsze przynosimy szczęście!

Ładys: Jutro wam przyszlę procent...

Nuna: To pan jutro znowu wygra... Zobacz pan!

Ładys: Jutro? Moja kochana! Mnie jutro nic nie obchodzi. Jestem człowiekiem dnia dzisiejszego. Dziś jest tylko pewne, jutro poprzedza mrok nocy. Nie zostawia się do jutra szklanki nalanej, ani butelki otworzonej. Jutro może mię zastać z zamkniętymi oczami... (Podnosi szklankę w ich kierunku): Niech żyje dziś! (Pije duszkiem): a jutro... jutro niech trawa nie rośnie!

Rico (przybliżył się do stolika): Co pan hrabia teraz rozkaże?

Nuna: Coś wesołego! One-step'a. (Rico bierze parę tonów na skrzypcach):

Rico: Tego?

Nuna: Dobrze... (Rico odchodzi do drzwi, po chwili orkiestra zaczyna grać one-step'a. — Do Ładysa): Nudny pan jest...

Tosia: Wygrał, a taki skwaszony! (Idą do stolika opodal, gdzie garson już postawił butelkę wina i szklanki):

Henryk (wstał z krzesła, zbliża się do Mery, pochyla się do jej ręki i całuje): Pani pozwoli się pożegnać.

Mery (zatrzymała przez chwilę jego rękę): Nie... jeszcze pół godziny. Lada moment zjawi się Kurak... Pan nie chce go zobaczyć? (Bierze szklankę i pije do niego): Pańskie zdrowie! (Henryk wziął swoją szklankę, podniósł lekkim ruchem w jej stronę, pije i siada przy niej).

Leokadja (do Burby): Mam interes do Ładysa... (robi ruch jakby chciała wstać).

Burba (zatrzymuje ją szorstko): Niech pani nie chodzi. (Ci-szej): Potrzebuje pani pieniędzy?

Leokadja (tak samo): Zgrałam się do nitki.

Burba: Dam pani. Ile?

Leokadja: Nie wiem... Ile pan może...¹⁰

¹⁰ Z sal gry wychodzi, witany uniżonymi ukłonami służby, wielki książę, mężczyzna wysokiego wzrostu, o szpakowatych, krótko strzyżonych bokobrodach. Towarzyszy mu starsza, wystrojona i wybrylantowana gwiazda pół-swiata i dwóch młodych panów, — we frakach, o ruchach rosyjskich oficerów gwardyjskich. Całe towarzystwo zasiada przy jednym ze stołów, maitre d'hotel uwiija się koło dostoj-

Burba: Jutro rano... przed wyjazdem... (Ładys jakby się domyślał treści tej rozmowy, uśmiecha się ironicznie).

(Orkiestra gra one-step'a. *Tosia* i *Nuna* wstają od stołu i zaczynają tańczyć. Kilka innych par odrywa się również od stołów. *Rico* podtańcowuje, podśpiewuje, dodając animuszu i tempa).

Mery (do Henryka): Czemu pan taki smutny?

Henryk: Nie jestem wcale smutny. Poczulem się tylko nagle obcy... jakby z innego świata. Między mną, a życiem wytworzyła się odległa perspektywa. Patrząc jakby nie swojemi oczami na ten tłum... widzę w nim nawet siebie samego, jedną z zabawnych figur, poruszającą się, jak inne, czyniącą pewne ruchy, mówiącą pewne słowa... nie wiadomo po co i dlaczego... Zasadniczym kłamstwem życia jest, że przyznaje mu się zbyt wiele znaczenia. Trzeba przezwyciężyć nierozumną obawę śmierci!...

Mery: Nudny pan jest... (Wstaje): Ja chcę tańczyć...

Henryk (porywczo): Niech pani tego nie robi.

Kolankiewicz (równocześnie wstał): Służę pani.

Burba: Mery... Proszę cię...

Mery: Nudni jesteście... Wszyscy tańczą... (Do *Kolankiewicza*): Pan jeden jest miły... (Do *Henryka*): Czemu pan nie tańczy... Ja chcę się bawić! Nie można ciągle filozofować...

Henryk (łagodny): Niech pani dziś nie tańczy!

Mery: Właśnie dziś!

Leokadja: Niech pan jej nie przeszkadza...

(*Ładys* pije szklankę za szklanką).

Mery (do *Henryka*, śmiejąc się): Wszyscy przeciw panu... (Idzie parę kroków z *Kolankiewiczem* na lewo, na przodzie sceny, tak, że staje przed stołem *Ładysa*. — Do *Kolankiewicza*): Pana bardzo lubię.

Kolankiewicz (uradowany): Naprawdę?

Mery: Gdyby pan umarł, żałowałabym, że to nie kto inny... (podaje mu ramię, on ją bierze w pól i miesza ją się z tańczącymi parami. — W drzwiach z prawej strony zgromadziło się teraz więcej osób. Taniec coraz żywszy. *Burba* i *Henryk* siedzą skwaszeni, milczący. *Leokadja* lekko podtańcowuje na krześle).

(*Ładys* śiega wzrokiem *Mery*. Zmarszczył brwi, widocznie

nego klienta. Piją szampana, dama tylko każe sobie przynieść rumianku. Dwie kokotki, które atakowały poprzednio szczęśliwego gracza, kręcą się natargiwie koło wielko-książęcego stołu. Są w widocznej dobrej komitywie z adjutantami. Towarzyszka wielkiego księcia zachowuje się wobec nich górnio i wręcz niechętnie. Wielki książę wszakże niewiele sobie z tego robi i gdy młodsza dziewczyna stanie przy nim, weźmie ją poufale za ramię, da szklankę wina, przesunie po obnażonym łokciu ręką. Zaś gdy towarzyszka czyni mu z tego powodu wymówkę, on krótko rzuci jej: — Małczat'!

nurtuje w nim niepokój i rozdrażnienie. Właśnie przesuwa się koło niego *Mery z Kolankiewiczem*).

Ładys (wstaje i zastępuje drogę): Panie Kolankiewicz, pan się zanadto męczy...

Kolankiewicz (nie rozumiał, staje, zatrzymując *Mery*): Co pan mówi?

Ładys (niedbale): Jest pan zmęczony... Wypocznij pan...

Kolankiewicz (biorąc to za żart, śmieje się): Wcale nie... (chce tańczyć dalej).

(*Burba i Henryk*, odwrócenii, nie widzą i nie słyszą tej sceny, która rozgrywa się na przodzie z lewej strony).

Ładys (zatrzymuje go ponownie): Kolanka się pod panem uginają... (Do *Mery*): Powinnaś zmienić partnera.

Kolankiewicz (teraz zrozumiał intencje *Ładysa*. Oburzony): Pan sobie zanadto pozwala...

Ładys (z tajoną wściekłością): Ja sobie z panem mogę znacznie więcej pozwolić, panie Kolankowski.

Mery (pogardliwa): Jesteś pijany!

Kolankiewicz: Gdyby nie obecność pani... Ale jutro...

Ładys: Jutro chętnie się z panem zobaczę, panie Kolankowski...

Mery (j. w.): Jesteś zupełnie pijany... (Do *Kolankiewicza*): Niech pan nie zwraca uwagi... (Tańczy dalej, odsuwa się w głąb sali. *Ładys* przez chwilę ściga ją wzrokiem. W tym momencie tańcząc, przemykają koło niego *Nuna i Tosia*. On wkręca się między nie).

Ładys: Chcecie mię?

Nuna (wybuchając śmiechem): We troje?

(On bierze je obie ramionami w pól i tańczy).

SCENA 8.

Ciż. — Kurak.

(*Kurak* przeciska się przez tłum gości z lewej strony. Jest w szarym stroju podróżnym. Stał opodal drzwi, rozgląda się, ogłuszony muzyką, światłem i ruchem tańczących).

Ładys (stał przy *Rico*, głośno): Panie *Rico*, dosyć... *Kozaka*...

Rico (daje znak smyczkiem orkiestrze): La cosaque!

(Nagle urywa się one-step. Tańczący zatrzymują się zdezorientowani. Lecz w tej chwili *Rico* intonuje ostrego kozaka — muzykanci za drzwiami — podchwytną melodię. *Nuna i Tosia* rozpraszają gości, robią po środku sali miejsce. *Ładys* puszcza się w taniec, w prysudy, *Nuna i Tosia* dookoła niego robią krąg

drobnemi kroczkami). — (Wśród gości cudzoziemskich zaciekawienie, uśmiechy. Słychać angielskie szept: What is it?... I fran-
cuzkie: Un comte polonais...)

Henryk (wstaje od stołu): Wstyd!

Burba (wstał również): Wstyd! Chodźmy.

Leokadja (wstaje): Co jemu się stało!

Kurak (wreszcie przecisnął się, postrzegł zdaleka Mery i Burbę, spieszy do nich, po drodze natyka się na tańczącego Ładysa, zatrzymuje go, przerażony): Panie hrabio!... Co pan robi?

Ładys (na pół przytomny, zatrzymuje się): To pan?... Pan Kurak... Dobry wieczór... (Do Rica): Dosyć... (Muzyka milknie). (W tej chwili zbliża się zmiierzając ku wyjściu towarzystwo Mery).

Kurak (radośnie): Ledwo panią odnalazłem. (Wita się): Pociąg spóźnił się... Państwo wiedzą? Już jest oficjalna depesza... Austrija wypowiedziała wojnę Serbji! Jutro poruszy się cała Europa!... (Na sali szept: Que ce qu'il dit? La guerre... La guerre...)

Kurak (do Burby z tryumfem): Widzi pan, kto miał słuszność? Już robiło się tak duszno, że nie podobna było oddychać. Przychodzi na nas pora!

Kolankiewicz (nie rozumie): Jakto na nas?

Kurak: Co wczoraj było nieścigłem marzeniem, dziś staje się rzeczywistością.

Mery (śmieje się życzliwie): Warjacie! Nie krzycz tak głośno... jeszcze nie wszyscy rozumieją...

Burba (zamyślony): Chodźmy...

(*Ładys* przysłuchiwał się opodal, nagle decyduje się szybko, wychodzi na lewo).

Ładys (przechodząc koło Mery, półgłosem): Jeszcze dziś... (Odchodzi. — Mery drgnęła).

Burba (dosłyszał): Co on powiedział?

Mery (wzruszyła ramionami): Nie słyszałam.

Leokadja (do Kolankiewicza): Jestem przerażona... Nogi mam jak z waty... Niech mi pan poda rękę.

Kolankiewicz (podał jej ramię): Proszę pani... (Wskazuje na Kuraka): Czy ten pan jest z towarzystwa?

Leokadja (uśmiecha się złośliwie): Pan Wincenty Kurak?...

Kolankiewicz (zadowolony): Odrazu poznałem... I już mię nie nie obchodzi, co on mówi. Ce n'est pas un monsieur!

Mery (do Kuraka): Ty gdzie jedziesz?

Kurak: Do Krakowa! Do szeregu!

Kolankiewicz: Pan służy w armji austriackiej?

Kurak: Nie panie, już w polskiej...

(*Kolankiewicz* wzrusza ramionami i mówi coś cicho do Leokadji, idąc ku drzwiom).

Burba (do Kuraka): W każdym razie — jutro do Paryża.

Henryk (do Mery, poważny, zamyślony): Żegnam panią! (Pochyla się, składa na jej ręce długi pocałunek).

Mery (zdziwiona): Pan nie idzie?

Henryk: Pójdę jeszcze nad morze...

Mery: Pan jedzie jutro?

Henryk (zagadkowy): Nie wiem, czy będę mógł.

Mery (obojętniej): Ma pan interesy... (Podaje jeszcze raz rękę, serdecznie, ale myśli o czem innym): W każdym razie, zobaczymy się?...

Henryk (j. w.): Tak... (Mery z Kurakiem idą ku drzwiom).
(Do Burby): Ja zapłacę rachunek.

Burba (nalega): Niech pan idzie z nami...

Henryk (z bladym uśmiechem): Sądzi pan, że nie trafię do hotelu?

(Wszyscy, prócz nich dwóch, wyszli na prawo).

SCENA 9.

Henryk. — *Burba*.

Burba (cieplej): Przepraszam pana... wtrącam się może w nie-swoje rzeczy... Pan jest zdenerwowany!

Henryk (j. w.): Jestem zupełnie spokojny.

Burba: Ufa pan mojej życzliwości?

Henryk: Tak.

Burba: Niech mi pan odda rewolwer... Jutro zwrócę go panu...

Henryk (po chwili, lekko ironizuje): Kochany panie Burba, panu się zdaje, że posiadanie rewolweru wystarcza do samobójstwa. Rewolwer, to rzecz drugorzędna. Ważniejszą — najważniejszą rzeczą jest — przewyciężyć obawę przed nieznanem...

Burba: Więc tem bardziej... niech mi pan da... ten dowód zaufania. Jako zadatek naszej nowej przyjaźni.

Henryk (po krótkim wahaniu, widząc, że Burba nie ustąpi): Jeśli panu na tem zależy! (Wyjmuje rewolwer i podaje Burbie, ten chowa broń do kieszeni): Tylko ostrożnie, bo nabity... Siedm kul...

Burba: Dziękuję panu! (Wymieniają długi uścisk dłoni, potem Burba szybko idzie na prawo).

(*Henryk* został sam, patrzy za nim — ze smutnym uśmiechem, — wolno postępuje ku oknom, za którymi znów migają sygnały świetlne).

(*Zastłona spada*).

A K T IV.

Pokój sypialny w pierwszorzędnym hotelu, wytwornie umeblowany. Duże łóżko z zasłoną. Naprost widowni okno, szczelnie zasunięte na noc portjerą, oraz balkon, którego drzwi rozwarte pozwalają widzieć szafir nieba i morze (ta sama dekoracja za oknami, co w trzecim akcie). Z prawej strony — drzwi na korytarz, z lewej—mniejsze, do cabinet de toilette. Wisząca lampa cedzi wątłe światło. Na szeszlunku drzemie pokojówka.

SCENA 1.

Pokojówka. — Ładys.

(Do drzwi silne pukanie. Pokojówka budzi się, przeciera oczy, nieprzytomna ze snu. Nareszcie ocknęła się i idzie do drzwi):

Pokojówka (przez uchylone drzwi): Kto tam?

Głos (z korytarza): Ouvrez, mademoiselle Kasia, c'est moi, le garçon.

Pokojówka (wychodzi na korytarz): Pani niema... Co? Pani na dole?... Nie rozumiem... Comprends pas... (*Garson* mówi po francuzku): Dobrze... dobrze...

(Przymknęła drzwi od zewnątrz. Przez chwilę na scenie pusto. Nagle znów drzwi uchylają się, wsuwa się ostrożnie *Ładys*, w paltocie, kołnierz podniesiony do góry, kapelusz na głowie. Rozejrzał się, zaglądnął do gabinetu, wyjrzał na balkon,—idzie szybko za łóżko i tam ukrywa się za kotarą).

(Za sceną słychać głos *Burby* i *pokojówki*).

SCENA 2.

Mery. — Burba. — Kurak. — Pokojówka.

Pokojówka (jeszcze za sceną): Nic nie rozumiem. Zawołał mię, że pani na dole... (drzwi się otwierają i wchodzi *Mery*, za nią *Kurak*, *Burba* i *pokojówka*). Myślałam, że się co stało i zbiegłam...

Burba: W żadnym razie nie należy zostawiać otwartych drzwi. Mógł kto wpaść.

Pokojówka: To nie trwało jednej minuty. (Zapala lampę na stole).

(*Kurak* jest bez paltota. *Burba* zrzucił paltot, położył go na krześle wraz z kapeluszem).

Mery (zdejmuje kapelusz): Była napewno rozespana. Nie można się jej dziwić... (Oddaje kapelusz pokojówce, która niesie go do gabinetu i tam pozostaje). — (Do *Kuraka*): Twój pokój jest na tym samym korytarzu, obok jego pokoju (wskazała męża). (Do *Burby*): Czterdziesty piąty, prawda?

Burba (usiadł): Tak jest, czterdziesty piąty.

Kurak (przysiadł również): Ja nie będę mógł spać. Już w uszach dzwoni trąbka de ataku, ręka drży — do szabli. Pani! Jak my się kropniemy naprzód! Zaszumią białe orły, a taki będzie łopot skrzydeł, że cała Polska porwie się z letargu. Wielkiego dożyliśmy dnia!

Burba (z niedowierzaniem): Pan sądzi, że chłop, — pójdzie z wami? Że poruszycie szerokie warstwy?

Kurak (z zapalem): Musimy! Te dwa słowa: Polska! i Niepodległość! wstrząsną duszą narodu, sparzą ją gorącym żelazem. Zakrzyczy z bólu i zapłonie. (Do *Mery*): Pani! Gdym ja wszedł do tego waszego kasyna, gdym spojrział na ten zbytek, na ten szal użycia, — ...Sodoma! Czas był najwyższy, aby się zjawił Anioł z Mieczem ognistym! Z tej wojny wstanie świat nowy. Świat nowy i Polska nowa!

Mery (poruszona jego słowami, żartuje, ale z widoczną życzliwością): (Do *Burby*): Widziałeś kiedy większego warjata? On i mnie swoim szaleństwem na całą noc sen odbierze.

Kurak (wstaje): Już idę... (Całuje rękę *Mery*).

Pokojówka (stanęła przed chwilą w drzwiach gabinetu, nieśmiało): Proszę pani... to prawda, że będzie wojna?

Mery: Tak moja droga, wojna. Wracamy do kraju.

Pokojówka: I na si też bić się będą?

Kurak (porywcz, już w drzwiach): Jacy... „nasi“?

Pokojówka: No, nasi, ruscy...

Kurak (zły): „Nasi“!

Mery: Prawdopodobnie... Nawet na pewno...

Pokojówka: Jezus Marja! (Odwróciła się i cicho zaszlochała).

Burba (do *Kuraka*, wskazując pokojówkę): Widzi pan?...

Mery (do pokojówki): Masz kogo w wojsku?

Pokojówka: Nie... Ale teraz pewno będą brali... Jezus Marja! (Znika w gabinecie).

Mery: Cicho! (Do Kuraka): Dobranoc...

Burba: Pozwolisz mi zostać chwilę?

Mery: Proszę cię... (Do Kuraka, który już otworzył drzwi): Czterdziesty piąty! (Kurak wychodzi).

SCENA 3.

Mery. — *Burba*. — *Pokojówka*.

Mery (idzie do gabinetu): (Do Burby): Zdejmę suknię, dobrze?...

(*Burba* skinął głową). (Do pokojówki, już za sceną): Trzeba od samego rana pakować... Obudzisz mię o ósmej...

Pokojówka (w gabinecie): Dobrze, proszę pani.

Mery (j. w. do Burby): Kiedy pociąg odchodzi?

Burba: O jedenastej.

Pokojówka (j. w.): Proszę pani, ja nigdy nie zdążę...

Mery (wychodzi z gabinetu w penjoarze): Idź już spać... (Pokojówka w drzwiach od gabinetu).

Pokojówka: A włosy...

Mery (zrobiła giest ręką, mający oznaczać, że sama sobie poradzi): Idź...

Pokojówka: Dobranoc pani (pocałowała ją w rękę). (Do Burby, przechodząc koło niego): Dobranoc panu!

Burba (roztagrniony): Dobranoc. (Pokojówka wychodzi).

SCENA 4.

Mery. — *Burba*.

Burba: Jestem niespokojny o Goślickiego.

Mery (stoi przed lustrem i wyjmuje szpilki z włosów): Co się stało?

Burba: Był bardzo rozstrojony... On naprawdę gotów kiedyś odebrać sobie życie.

Mery (dość obojętnie): Za wiele o tem opowiada.

Burba: Czy i tobie o tem mówił?...

Mery (niechętnie): Raczej... można było tak rozumieć...

Burba: Żal mi go...

Mery (postrzegła się, że jest zbyt obojętną): Czemu zostawiłeś go samego?

Burba: Chciał...

Mery (zawija włosy w jeden węzeł): Skończone. (Spojrzała na zegar, który stoi przed lustrem): Późno. Trzeba iść spać. (Wyciąga rękę): Dobranoc.

Burba (wstał, całuje ją w rękę): Jaka ty jesteś dzisiaj pię-

kna! (Z uśmiechem): Czasem miewam myśli okrutne. Chciałbym cię widzieć zszpeconą, odartą z urody. Wydaje mi się, że moja męka byłaby mniejszą.

Mery (z uśmiechem): Jakaś porządna ospa... taka, co żłobi dziury w twarzy... (Pokazuje miarę na palcach).

Burba (j. w.): W nieszczęściu lepiej ocenia się prawdziwe uczucie...

Mery: Już wolę nie wystawiać cię na takie próby...

Burba (puszcza jej rękę, ona spodziewa się, że on pójdzie). (Burba po chwili wahania): Powiedz... czy ktokolwiek domyśla się, żeś ty... nigdy nie była moją?

Mery: Wątpię... o ile tyś się nikomu nie zwierzał.

Burba: Ja?

Mery: Któż zatem?

Burba (z sztuczną wesołością): Czasem, to bywa prawie zabawne... Te wszystkie spojrzenia, które biegną za tobą, zachwycone, a potem przenoszą się na mnie... z zazdrością: — Oto szczęśliwy posiadacz! Jakto mówi mąż Porcji? Żona, co wszystkim chce zarówno świecić, nad mężem tylko zawiesi noc czarną!... (Postąpił parę kroków ku balkonowi): Dziś może ostatni wieczór przed wielką burzą... Patrz, jaki czysty szafir nieba... morze gładkie... Niebo i morze... (Spojrzał przez balkon, odwraca się, z uśmiechem): Wysoko! Jeden skok... w nieskończoność!

Mery: Nieskończoność jest zawsze koło nas... Nie chcemy tylko o niej myśleć...

Burba (zbliża się do niej, bierze jej rękę, pieści lekko w swoich dłoniach): My jeszcze nie zdajemy sobie sprawy, ile ciemnych i groźnych tajemnic kryje ten jeden wyraz: wojna! wojna! Cały ład naszego dotychczasowego życia wywrócony, niebezpieczeństwa i troski, które dotąd przez myśl nie przechodziły! To, co było najwyższą wartością — życie jednostki, — traci wszelką cenę... *Mery*! Dzień jutrzejszy może zastanie nas już w burzy, — mamyż jak dotąd, być sobie obcy? Czekają nas ciężkie, trudne przeżycia, — chcesz dołączyć do nich mękę, która trwa... od wieczoru naszego ślubu?... Gdybyś mogła... Gdybyś chciała! Jakaż siłę poczułbym w sobie! Czy tobie samej nie byłoby lepiej? Z inną ufnością oparłabyś się na mem ramieniu. Ten dziwoląg, jakim jest nasze współzycie, nie może ciągnąć się. Już trwa zbyt długo. Jesteś piękną! Moje wszystkie zmysły, moje wszystkie nerwy pragną cię, drżą niepokojem. Niech ta burza, która jutro rozszaleje nad naszymi głowami, znajdzie nas złączonych, — złączonych nie — tylko czezą formułą, jak dotąd... (urwał).

Mery (cicho, poruszona): Czego chcesz?

Burba (bierze ją w pól, ona nie broni się, on zwolna przyciąga jej głowę, szuka jej ust, lecz, gdy ich wargami swemi dotyka, Mery gwałtownym ruchem wyrýwa mu się z ramion).

Mery (złym, ostrym głosem): Nie!

Burba (usiłuje pokonać jej opór): Jesteś moją żoną... Mery!

Mery (gdy znów zawisł nad jej ustami odpycha go brutalnie): Nie...

Burba (ciężko oddychając, odsunął się, patrzy na nią zamglonemi z wzburzenia oczami): Jaki ty masz wstręt do mnie! Ty mnie znieść nie możesz! I tak będzie zawsze, dopóki między nami będzie stał — tamten!

Mery (wyzywająca): Kto?

Burba (ciszej): Siewierski.

Mery: Nieprawda!

Burba: Okłamujesz się sama! Budzę w tobie wstręt, bo myślą i uczuciem, każdym zmysłem i każdym nerwem, należysz do niego.

Mery (ciszej): Nieprawda! (Usiadła bezsilna na szeslongu): Czemu mię dręczysz?... Czy nie pojmujesz, że — gdybym mogła... Któryż raz powtarza się ta scena? Zawsze kończy się tak samo... (wyciąga doń ręce): Patrz... moje ręce są jak z lodu... zdaje mi się, że krew przestała krążyć (on wziął jej ręce w swoje dłonie): Miej litość!

Burba (puścił ręce): Ty nie masz jej dla mnie.

Mery: Więc rozejdźmy się. Proponowałam ci nieraz. Nie męcz mnie i siebie!...

Burba (usiadł obok niej, wziął ponownie jej ręce i lekko w swoich dłoniach rozciera): Tak samo zimne były twoje usta. Dać ci amonjaku?

Mery (wstaje): Nie... Już przechodzi... (Idzie do balkonu): Najlepiej zrobi świeże powietrze. (Oparła skronie o odrzwia i odycha głęboko).

Burba (po chwili, zaniepokojony): Lepiej?

Mery: Tak... (z bladym uśmiechem): Jesteś niegodziwy.

Burba (pośepny): Ja?

Mery (przekomarza się, jak rozkapryszone dziecko): Ty... Jedź jutro... Zostaw mię samą... (znów uśmiech — trochę zalotny): Proces rozwodowy nie będzie trudny.

Burba (j. w.): Chcesz być wolną — dla niego?

Mery (bez gniewu, prawie żałośnie): Chcesz we mnie wmówić? Nie uda ci się... (Twardziej): Nie byłam twoją, ale nie byłam nieczyją. Prędeż oddałabym się każdemu... Chcesz wierzyć, to wierz. Ale nie męcz mię... (siada na krześle, które stoi opodal drzwi balkonowych).

Burba (j. w.): A czy ty zdajesz sobie sprawę, jak ja się męczę! Nie umiem tego powiedzieć... moje oczy nie potrafią plakać. Lecz... są chwile, że życie staje się... nieznośnym ciężarem. Powiedz... Jestem spokojny... bez gniewu... — Kochasz go?

Mery (głowa w dłoniach — glucho): Nie wiem!

Burba (poruszył się gwałtownie, nogą uderzył w dywan): Nie wiesz? Ale ja wiem... I dopóki on będzie... dopóki będzie... nie zmieni się nic...

Mery (odjęła dłonie od głowy, prostuje się, wzrok zapatrzony w dal nocy): Dosyć... Zrobisz, jak zechcesz. Teraz idź... (Wyciąga doń rękę, on całuje ją): Zajrzyj do Goślickiego, czy wrócił.

Burba (posępny): Zajdę... Jeśli go niema, poszukam na estakadzie... Tam zwykle bywa.

Mery (wstała): Dobranoc. (Poruszyła dłonią po jego czole — tklivicj): Bardzo biedny?

Burba: Bardzo... (zatrzymał się, jak gdyby błysnął mu promień nadziei).

Mery (postrzegła to i chłodniej): Idź już!

(*Burba* bierze paltot i kapelusz i wychodzi, zgarbiony).

SCENA 5.

Mery. — *Ładys*.

(*Mery* stoi przez chwilę w zamyśleniu, potem idzie do drzwi, zamyka je na klucz, wraca znów do drzwi balkonu, przeciąga ramiona, stoi przez chwilę zadumana, potem czyni giest niecierpliwy, jakgdyby odpędzała od siebie nieprzyjemne, a natrętne myśli, idzie do stołu, gasi lampę, zostawiając tylko światło *veilleuse'y*).

(Z za łóżka wychodzi *Ładys* i staje cicho od strony balkonu, *Mery* nagle usłyszała, raczej odczuła jego obecność. Odwraca się szybko, okrzyk przerażenia zamarł jej w krtani... Parę sekund stoją tak naprzeciw siebie).

Mery (zdlawionym głosem): Ty? Śmiałeś tutaj?... (giest): Precz! (wskazuje drzwi).

Ładys (glucho): Musisz mię wysłuchać!

Mery (nabiera tchu, głośnie): Precz! Jeśli w tej chwili nie wyjdiesz, zawołam o pomoc. Sądziś, że się ulęknę skandalu? Nie znasz mię.

Ładys: *Mery*! Ty musisz ze mną mówić!

Mery (podeszła do drzwi, wiodących do korytarza): Nie... (kładzie rękę na dzwonku elektrycznym): Jeśli w tej chwili nie wyjdiesz, naciskam dzwonek... wołam o pomoc.

Ładys (gwałtownym ruchem rzucił się na balkon): Jeśli nie

zechcesz mię wysłuchać, wyjdę — ale tędy! (Wskazuje na balkon). Wszystko mi jedno... Ja znam ciebie, ale i ty mnie znasz. Wiesz, że nie zawaham się... Dzwoni! (oparł się ramieniem o balkon, gotując się do skoku): Wołaj!... Raz... Dwa...

Mery (stoi przez chwilę niezdecydowana, nagle ręka jej opada): To, co robisz, jest nieczemne!

Ładys (ze spuszczoną głową, głucho): Jestem zdolny dziś do każdej zbrodni.

Mery (została przy drzwiach): Zbrodni? To jest tylko ordynarny szantaż. Wiem, że do głupiego szaleństwa jesteś zdolny. Okazałeś to w całej pełni, w burdzie, jaką zrobiłeś w kasynie. Choć życie twoje nie wiele warte, nie chcę mieć go na sumieniu. Mów, czego chcesz.

Ładys: Ja w oczach twoich nie widzę nienawiści. Tylko gniew... (sekunda pauzy). Mimowoli byłem świadkiem twej rozmowy z mężem.

Mery (pogardliwie): Wślizgnąłeś się jak złodziej i podsłuchiwałeś jak lokaj.

Ładys: Nie dalaś mi innego sposobu... Tak, przekupiłem garsona, wkradłem się... Nie przewidziałem, że mogę być niedyskretnym świadkiem rozmowy. Wiedziałem, że mąż twój ma pokój oddzielny. Czy sądzisz, że nie wołałbym stanąć naprzeciw niego, oko w oko, i krzyknąć: — precz od niej! Ona jest moja!? Tylko ja mam do niej prawo!? Tego jednak bez twojej zgody zrobić nie mogłem. (*Mery* usiadła na szeszlunku, twarz jej zachowuje martwy chłód, oczy unikają *Ładysa*). Ile razy kąsała mię myśl: usunąć tego człowieka, który stanął między tobą a mną! Widziałem cię w jego objęciach, i do piersi wlewało się roztopione żelazo, serce przestawało bić. Jeślim zawinił, wierz mi, tą męką okupiłem wszystkie błędy. A ty... ty przy każdym spotkaniu sypałaś ogień na moje krwawiące rany. Słuchałem waszej rozmowy, — nie mogłem nie słyszeć... *Mery*! Tyś nigdy jego nie była! Ani Henryka; nikogo! Kłamałaś, by mnie męczyć, bez miłosierdzia. Ale kłamałaś! Nie byłaś niczyją, niczyją być nie mogłaś, bo byłaś i jesteś tylko moją!

Mery: Gdybyś wiedział, jak tobą gardzę, przeraziłbyś się, — choć tchórzem nie jesteś.

Ładys: Być może, że jesteś szczerą. Gardzisz mną? Mnie nie potrzeba twego szacunku. Mnie potrzeba twej miłości, — tak, jak rybie wody, jak ptakowi powietrza. Gardź mną, deptaj! Chciałaś zabić, pamiętasz? Wszystko jedno. Mnie w ogóle dziś wszystko jedno. Nie mogłaś oddać się mężowi, nikomu, — bo czułaś, że tylko moją być możesz, i to uczucie było silniejsze od twojej woli, od wszystkich wysiłków twego chcenia. Cokol-

wiek powiesz, wszystko jedno. Kochasz mię! Chcesz, czy nie chcesz, — kochasz mię! Daremnie broni się twa duma, twój upór! Usta kłamią duszy i zmysłem. Twa uparta wola rzuca słowa obelżywe i zimne. A równocześnie ploniesz całą tym samym szaleń, który ogniem żre moją krew, zamienia ją w ukrop. Bądź sobą! Jest coś silniejszego od nas, od życia, od śmierci. Kochasz mię!

Mery (cpuszcza ją widocznie odwaga do dalszej walki): Gdyby tak było, to byłby zły — najgorszy — szatan!

Ładys (przypadł jej do kolan): Wszystko jedno! Bóg, czy szatan! Nie obronisz się! Wiem o tem i jestem silny. Nie odbierze mi cię nikt!

Mery (j. w.): Jestem znużona... bezmiernie znużona! Odejdź! Zdaje mi się, że moje serce bić przestaje.

Ładys (obejmuje ją ramieniem): Ja pobudzę je do nowego życia. Teraz, gdy w i e m, czuje się silny. Teraz, gdy jestem pewny, czuję w sobie taką moc... Wszystko inne wydaje się drobnym, małym... Pchnę palcem, rozsypie się. Cokolwiek byś powiedziała, nie ma znaczenia. Jesteś moją, niepodzielnie moją... Nie odbierze mi cię nikt... Niema takiej siły! *Mery!* Kocham cię bez pamięci! Ty nie wiesz, jaka jest potęga miłości. Daj usta!

(Ona uchyła się od pocałunku, a gdy on próbuje znów skłonić ją ku sobie, nagłym ruchem wstaje).

Mery (raczej sili się na gniew, niż jest istotnie gniewną): To, co chcesz zrobić, jest podle. Ja nie wiem, co będzie jutro, co jutro zrobię. Ale muszę być z sobą w zgodzie. Gdybyś mię wziął dziś — teraz — wbrew mej woli, — ja nie wiem... ty myślisz, że jabym uległa się... (Myśli, lecz niedopowiada: śmierci).

Ładys (zrozumiał): Nie... Lecz ja też nie boję się śmierci. Tę o życia mam dosyć. Umrzeć z tobą razem! Czy ja o tem nie myślałem! Raz jeden... parę godzin szczęścia... upić się tobą, twojemi pocałunkami, twojem ciałem pachnącem, a potem... niech trawa nie rośnie! Dwie białe trumny, białemi kwiatami przykryte, — jedna, ciepła jeszcze od świeżo rozkrajanej ziemi mogiła! *Mery!* Ja nie wiem nawet, czy taka miłość, jak nasza, może zmieścić się w zwykłym, powszedniem życiu! Wulkan w ogniu spala wszystko. Niech i nas spali na popiół! Jedna godzina wielkiego szczęścia—więcej warta od długich dni, sączących skąpe, wyliczone światelko. Kochasz mię! (obejmuje ją znów ramieniem, szuka ust).

Mery (słania się w jego objęciach): Nie! (jej usiłowania jednak są daremne, on przyciąga ją mocniej, pochyła się nad jej głową, wpija łakomo wargi w jej usta. Ona wydaje słaby okrzyk i z przymkniętymi oczyma poddaje się długiemu pocałunkowi).

SCENA 6.

Cięż. — *Burba.*

(W drzwiach pukanie)

Mery (odrywa się przerażona od Ładysa, szeptem): Co to?*Ładys* (na wpół pijany od pecałunku): Ktoś puka...

(Ponowne pukanie, oni poglądają na drzwi, — bezradni).

Burba (za drzwiami): Otwórz *Mery*, to ja! (*Pauza*): Otwórz...

Ważna wiadomość...

Ładys (szuka oczyma swej poprzedniej kryjówki): Ukryję się...*Mery* (wskazuje mu giestem drzwi od gabinetu): Tam...*Ładys* chwyta kapelusz, wsuwa się szybko do garderoby, *Mery* zamyka drzwi, potem poprawia machinalnie panjoar i idzie otworzyć drzwi do korytarza).*Burba* (wchodzi w paltocie, zdejmując kapelusz, — widocznie silnie wzruszony): Spałaś?*Mery*: Zasypiałam... co się stało?*Burba* (spojrzał na nietknięte łóżko, objął ją cokolwiek zdziwionym spojrzeniem): Nie kładłaś się jeszcze?*Mery*: Nie... leżałam na szezlongu.*Burba* (po chwili): Goślicki... nie żyje.*Mery* (wzdrygnęła się): Goślicki?*Burba*: Tak. Nie było go w pokoju. Poszedłem nad morze. Na moście, przy skałach, zgiełk. Zbliżam się. — Jakiś człowiek rzucił się do morza. Dozorca wybrzeża widział go, jak chodził szybko, zamyślony... Potem usiadł na ławce, wyjął notes, mimo ciemności coś pisał... I nagle skoczył przez parapet, rzucił się w morze. Kartkę, na której leżał zegarek i pugilares, znaleziono na ławce. Napisał tylko: Umieram z własnej woli. Proszę zapłacić hotel, a w razie odnalezienia zwłok, — pogrzeb. Resztę pieniędzy przeznaczam na ubogich. I nazwisko...*Mery* (stłumionym głosem): Nie próbowano go ratować?*Burba*: W nocy? Podczas przypiływu? Żaden przewodnik nie odważy się... między skały. Będą szukać, skoro świt...

(Przez otwarte okno balkonu widać czyniący się, coraz jaśniejszy dzień).

Mery (siadła na szezlongu): Okropnie!*Burba* (patrzy na nią uporczywie): Tak...

(Długa chwila milczenia).

Mery: Która godzina?*Burba* (spojrzał na zegarek): Dochodzi czwarta.*Mery*: Trzeba się położyć... (wyciąga doń rękę): Dobranoc.*Burba* (ujął jej rękę, zatrzymał): Gdym cię żegnał — przed

godziną — ręce miałaś jak lód. Teraz są rozpalone. Masz gorączkę?

Mery (niecierpliwie): Nie wiem. Wszystko jedno.

Burba (puścił jej rękę, chce iść, widocznie jednak jakaś myśl nurtuje w jego mózgu, — zatrzymał się): Rozmawiałeś z nim długo w kasynie... Nie zwierzał ci się? Nie groził?

Mery (wstaje, poruszona, lekko wyzywającym tonem): Jakto, „groził”?

Burba (ciszej): Ty mnie rozumiesz...

Mery (j. w.): Nie.

Burba (j. w.): Nie poczuwasz się... do żadnej odpowiedzialności?

Mery (prawie rozpaczliwie): Czego ty odemnie chcesz?

Burba (zachwiał się): Nic... (Zmiana tonu): Ja czulem, że w nim waży się jakieś rozpaczliwe postanowienie. Wymogłem, że mi oddał rewolwer... (Sięga do kieszeni od spodni, wyjmuje rewolwer): Patrz to pamiątka po nim... Postanowienie było silniejsze... (chowa rewolwer do kieszeni paltota): Biedny człowiek... Wstrząsnęło mną... do głębi... Dobranoc... (Idzie ku drzwiom, nagle zatrzymuje się): Możesz mi dać trochę kolońskiej wody? Chciałbym natrzeć skronie, a mój flakon pusty.

Mery (spiesznie): Zaraz ci dam... (Idzie do gabinetu).

Burba (idzie w tym samym kierunku): Nie trudź się... ja wiem gdzie jest.

Mery (zaskoczona): Zaczekaj... (Opanowała się): Przyniosę ci.

Burba (postrzegł jej zmięszanie): Co się stało? (Ona stanęła, instynktownie zasłaniając drzwi, jemu nagle podejrzenie przemknęło przez głowę): *Mery!*

Mery (usiłuje zapanować nad przerażeniem): Co?

Burba (przytłumionym głosem): Dla czego nie chcesz, bym tam wszedł?

Mery (j. w.): Oszalałeś? Proszę cię... Widzisz, jak jestem wyczerpana... Tam jest nieporządek... (Odmyka drzwi, chce wejść do gabinetu, — zahypnotyzowana wzrokiem Burby, staje jednak, przez sekundę mierzą się spojrzeniem).

(W tej ciszy, — gdy każde z nich zdaje się słyszeć bicie własnego serca, w gabinecie rozlega się hałas przewróconego przedmiotu):

Burba (gwałtownie, ale szeptem): Tam ktoś jest!

Mery: Nie.

Burba (zbliżył się do niej, ona zrobiła parę kroków ku niemu, jakby chcąc go wstrzymać): Pozwól mi wejść.

Mery: Nie.

Burba (bierze ją za ramię i usiłuje odsunąć): Musisz!
(Krótka walka, w której *Mery*, czując się pokonaną, wydaje lekki okrzyk. W drzwiach gabinetu staje *Ładys*).

Burba: Pan?

(Chwila milczenia. Nagłym ruchem *Burba* wyjmuje rewolwer, strzela dwa razy. *Ładys* postąpił parę kroków ku niemu, wyciągnął ręce, pada):

Mery (rzuca się do *Ładysa*): *Ładys!* Jezus Marja! (Rozpaczliwie): Zabieś go! (Usiłuje podnieść głowę *Ładysa*, która opada bezsilnie).

Burba (w opuszczonej dłoni rewolwer, na pół przytomnie): Zabiełm...

Mery (porwała się, staje naprzeciw wyzywająca): Zabij i mnie! Jego tylko kochałam! Słyszysz? Jego jednego! Do niego tylko należałam. Do nikogo więcej! Był moim kochankiem! Ciebie nienawidzę! Byleś mi wstrętny... Zabij mię. (Na korytarzu zgicłk, wywołany hukami strzałów).

Burba (j. w.): Był twoim kochankiem... (Podnosi rewolwer, ona stoi wyzywająca, jemu zwolna opada ręka): Nie mogę!

SCENA 7.

Ciż. — *Kurak*. — *Służba*. — *Goście*.

(Na korytarzu słyhać przerażone głosy: C'est ici. Oui! C'est ici!... Qui a tiré... On a tiré... Drzwi się otwierają, wchodzi garson, za nim widać służbę, paru naprędec ubranych sąsiadów).

Garson (postrzegł, leżącego *Ładysa*): Bon Dieu!

Kurak (kolnierz od marynarki podniesiony, przeciska się przez tłum w drzwiach, wpada do pokoju): Pani! (stanął przerażony). (Za oknem słyhać orkiestrę wojskową, grającą *Marsyljanke*, oddalony śpiew żołnierzy).

(Wśród gości głosy: La police... Un commissaire... Qui a tué?..)

Burba (j. w.) — do *Kuraka*: To ja... zabiełm...

Warszawa, dnia 11/IX, 1920 roku.

INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-900 Warszawa
Tel. 26-88-63, 26-52-31 w. 42



F

1832